# NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie 5 kor. Półrocznie 10 kor. Rocznie 20 kor. – Do Niemiec: Kwartalnie 5 kor. 65 hal. Półrocznie 11 kor. 30 hal. Rocznie 22 kor. 60 hal, z przesyłką pocztową. W Ameryce: Kwartalnie 6 kor. 30 hal. Półrocznie 12 kor. 60 hal. Rocznie 25 kor. 20 hal., z przesyłką poczt.

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).

Telefon Nr. 479.

Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 40 halerzy — 20 kop. — 40 fen.

Rok XIII. Kraków, 8 lipca 1916. Nr. 28.

# Z walk na morzu.



Wystrzelony pocisk torpedowy.

## Z walk na morzu.

(Do illustracyi tytułowej).

W dzisiejszych walkach morskich bardzo ważną rolę odgrywają torpedy lub torpile, przyrządy, wypełnione materyałami wybuchowymi, a służące do rozbijania nieprzyjacielskich okrętów. Nazwa pochodzi od płaszczki elektrycznej. Pierwotnie składały się one ze skrzyni nieprzemakalnej, napełnionej prochem, bombami i t. d. i zapuszczano je we wodę w danem miejscu. Połączone były zawsze z urządzeniami, zapomocą których wybuchały.



**Pożyteczna instytucya:** Radca Sądu kraj., dr. Maryan Lang, nowoobrany prezes Związku ekonomicznego urzędników, profesorów i nauczycieli.



**Pożyteczna instytucya:** Sekretarz Skarbu, Andrzej Bejda, nowoobrany wiceprezes Związku ekonomicznego urzędników, profesorów i nauczycieli

Dziś tego rodzaju urządzenia zowią się minami, a posiadają rozmaitą konstrukcyę. Wnętrze ich wypełnione jest bawełną strzelniczą lub innym materyałem wybuchowym, w górnej zatyczce znajduje się zatopione naczynie szklane, wypełnione cieczą. Skoro przez uderzenie naczynie to zostanie stłuczone, ciecz spływa do ogniwa galwanicznego, znajdującego się u spodu i wzbudza prąd elektryczny, który powoduje wybuch.

Na tej mniej więcej zasadzie zbudowane są i właściwe torpedy. Po raz pierwszy używano ich w czasie wojny amerykańskiej, urządzone jednak były bardzo prymitywnie i nieraz zawodziły. Już w roku 1801 ulepszył je Fulton, torpedę przecież, jaką ona jest dziś, wynalazł w roku 1867 we Fiume Lupis i Whitehead.

Ma ona kształt ryby i wyrzucaną bywa z okrętów lub specyalnych łodzi torpedowych zapomocą odpowiednich dział. Pocisk taki ma przeszło cztery metry długości, a przecięcie w średnicy do czterdziestu pięciu centimetrów, wyrobiony zaś jest z bronzu. W części przedniej, stożkowatej, zawiera ładunek bawełny strzelniczej (do dziewięćdziesiąt kilogramów), a w zaostrzonym końcu osadzoną jest kabzla. Poza tem znajduje się przyrząd, utrzymujący pocisk w jednakowej głębokości, a następnie zbiornik zgęszczonego powietrza i motor tem powietrzem pędzony, który utrzymuje ruch śrub okrętowych, osadzonych na końcu torpedy. Szybkość dochodzi do trzydziestu mil morskich na godzinę, zachowuje ją jednak na niewielkiej tylko odległości, następnie zwalnia i zmienia nieco kierunek biegu.

Celem ochrony od torped wielkie statki wojenne otaczają się siatką stalową, która podwodną część okrętu, narażoną na uderzenia torpedy, ze wszech stron osłania.



**Pożyteczna instytucya:** Nadradca magistratu, dr. Marceli Zawadzki, ustępujący z godności prezesa Związku ekonomicznego urzędników, profesorów i nauczycieli

## Pożyteczna instytucya.

Przed ośmiu laty powstał w Krakowie „Związek ekonomiczny urzędników, profesorów i nauczycieli“,



**Szósty pułk Legionów w polu;** Okopy.



**Nasi w Albanii:** Galicyjscy chłopi, zajęci budową drogi.



**Szósty pułk Legionów w polu:** Kaplica polowa.

mający na celu ochronę materyalnych interesów funkcyonaryuszy i innych urzędników, żyjących ze stałych poborów. Były to jeszcze czasy, kiedy urzędnicy z obawy przed szykanami ze strony przełożonych powolnie gromadzili się pod własnym sztandarem. Atoli na czele stanął radca dworu Biliński, za którego prezesury Związek urzędniczy doszedł już do poważnego znaczenia w mieście. W uznaniu też zasług radca Biliński został mianowany w chwili przeniesienia się do Wiednia pierwszym honorowym członkiem.

Drugim z rzędu prezesem wybrali urzędnicy nadradcę magistratu, dra Marcelego Zawadzkiego. Ten, obdarzony wielkim talentem administracyjnym, przyczynił się wielce do rozwoju tej organizacyi. Liczba członków wzrosła do dwóch tysięcy, a obroty kasowe dochodziły do 200.000 koron rocznie. Za jego urzędowania przeprowadził Związek ekonomiczny wybory do Rady miasta i mimo, że stronnictwa polityczne zawarły ze sobą kompromis, aby nie dopuścić do Rady miasta żadnego kandydata, postawionego przez Związek, przecież urzędnicy odnieśli ten sukces, że dzisiaj już wchodzi do rady trzech kandydatów z pośród członków Związku.

Kiedy z powodu przeszkód natury osobistej dr. Zawadzki nie mógł dłużej kierować Związkiem, dwaj wiceprezesi, dr. Maryan Lang, radca sądowy, oraz Andrzej Bajda, sekretarz skarbowy, ujęli ster rządów i w najtrudniejszych warunkach, bo w czasie wojny, zajęli się aprowizacyą.

Co może dobra wola, zapał i energia — to najlepiej okazała działalność kierowników Związku z dr. Langiem na czele w ubiegłym okresie wojennym. Gdy wzrastająca z każdym dniem drożyzna przygniatała swem brzemieniem zwłaszcza urzędników i wszystkich wogóle funkcyonaryuszy, żyjących ze stałych poborów, gdy często brak zupełny niektórych najniezbędniejszych produktów stawał się prawie klęską, dr. Lang przy współudziale dra Bajdy wprost dokazywał cudów, aby zapewnić członkom Związku potrzebne produkty po najprzystępniejszych cenach. Zarówno mąkę, masło, jaja, towary kolonialne, jak konfekcyę, bieliznę i obuwie, dzięki niezmordowanym zabiegom kierowników członkowie Związku mogli otrzymywać w czasach najkrytyczniejszych pod względem aprowizacyjnym dla miasta po cenach bardzo przystępnych.

To też działalność ich na tem polu w najszerszych kołach naszego miasta zyskała ogólną wdzięczność





**Szósty pułk Legionów w polu:**
Komendant kompanii pionierskiej, por. Pomirski, komendant trenu bojowego, podchorąży Iwanowski, adjutant pierwszego bataljonu, podpor. Stan. Kochanowski.

Lekarz sztabowy szóstego pułku piechoty, Krakowianin, dr. Jan Stopczański.



**Nasi w Albanii:** Grupa oficerów i inżynierów, zajętych przy budowie drogi.



**Szósty pułk Legionów w polu:** Karuzel wojenny.

i uznanie. Podnieść tu także należy niezwykłą uprzejmość, jaką dr. Lang okazywał zawsze wobec wszystkich członków Związku, nie szczędząc swego wolnego czasu...

Jak owocną była w czasie wojny działalność Związku pod kierownictwem pp. Langa i Bajdy, świadczy wymownie fakt, że w tym właśnie czasie liczba członków wzrosła do trzech tysięcy, a obroty osiągnęły poważną sumę półtora miliona koron. Wyrazem uznania dla kierowników Związku w ciężkim okresie wojennym było odbyte w tych dniach walne zebranie członków. Na zebraniu tem prezesem Związku wybrano jednogłośnie dra Langa, a wiceprezesem sekretarza Bajdę, przyczem obu przez aklamacyę w dowód uznania za dotychczasową ofiarną działalność — mianowano członkami honorowymi.



**Szósty pułk Legionów w polu:** Letnie mieszkania i poobiedni odpoczynek na pozycyi

## Odbudowa Galicyi.

Choć na wschodnim krańcu naszego kraju walka toczy się z rosnącem coraz bardziej nasileniem, części wolne od najazdu wroga zaczynają się powoli podnosić z gruzów. Brak wprawdzie rąk do pracy, która nie może iść w tem tempie, jakby powinna, robi się przecież tyle, ile się da. Zwłaszcza w najbardziej pożogą wojenną zniszczonych okolicach praca wre w całej pełni, choć dużo jeszcze czasu upłynie nim uda się zatrzeć wszystkie ślady spustoszenia, które pozostaną na długie lata jako pamiątka tego strasznego orkanu, który przez pełne dwa lata szalał na naszych ziemiach.

Do najbardziej zniszczonych okolic w kraju należy powiat gorlicki i miasto Gorlice. Nawała wojsk nieprzyjacielskich zajęła powiat 15 listopada 1914 r. i dzierżyła go przez dwadzieścia ośm dni do 13 grudnia, a powtórnie wróciła po kilku dniach 27 grudnia. Od tego czasu, po ustaleniu się bojowego frontu środkiem powiatu w linii, biegnącej od granicy północno-zachodniej przez Gorlice w kierunku południowo wschodnim do kończyn powiatu na granicy węgierskiej, okolice te były widownią ciągłych walk i terenem zniszczenia i pożogi do początku maja 1915 r. Walki pozycyjne na tych obszarach prowadzono prawie bez przerwy cztery miesiące. Pociski armatnie i strzały karabinowe, pożary zagród i domów zwiększały z dnia na dzień ruinę i dzieło spustoszenia, które do szczytu doszło i wreszcie skończyło się 2 maja 1915 r.

Obrazem zniszczenia, jakie czyni wojna, są Gorlice, niegdyś miasto zasobne i ruchliwe, a dziś świecące zgliszczami, ruiną i zwaliskami. W mieście tem, na sześćset szesnaście numerów hipotecznych jest pięćset sześćdziesiąt siedm budynków zniszczonych, z których zaledwo kilka domów było uszkodzonych w tym stopniu, iż można je było naprawić. Reszta domów jest tak zniszczonych, spalonych i zburzonych, że muszą być na nowo odbudowane.

Z gmin wiejskich, leżących wzdłuż linii bojowej, w stronie północno zachodniej od Gorlic, najbardziej poszkodowane są wsie, jak Stróżówka, Łużna, Staszkówka, Mszanka, Moszczenica, Rzepiennik Marciszewski i Strzyżowski, Glinnik Maryampolski, Zagórzany, a od strony południowo wschodniej Sękowa, Nieznajowa, Gładyszów, Blechnarka, Regietów i in. Jaki ogrom zniszczenia po wsiach, dosyć wspomnieć, że w samej Łużnej, oddalonej o dwanaście kilometrów od Gorlic, było przeszło trzysta dwadzieścia rodzin bardzo silnie poszkodowanych. W gminie tej jest dwieście jeden domów mieszkalnych włościańskich zupełnie spalonych i dziewięćdziesiąt jeden kulami rozbitych, częścią rozebranych, bądź silnie uszkodzonych, a nadto dwieście sześć zabudowań gospodarczych pod osobnymi dachami uległo zupełnemu zniszczeniu. W Gorlicach jedyny, wielkim nakładem niedawno zbudowany kościół jest zupełną ruiną. W powiecie kościół w Staszkówce i cerkwie w Gładyszowie i Krywej są spalone. Inne kościoły i cerkwie są także w różnym stopniu uszkodzone; budynki plebańskie w wielu miejscach uległy również całkowitemu, bądź częściowemu zniszczeniu i ograbieniu. Dwory i zabudowania dworskie w powiecie w wielu miejscach są poniszczone, bądź w większym, lub mniejszym stopniu popalone; a pola dworskie w długich smugach głębokimi rowami wojennymi poorane i dołami od wybuchowych strzałów armatnich zasiane. W lasach jest również szkód bardzo wiele.



**Nasi w Albanii:** Budowa drogi.



**Szósty pułk Legionów w polu:** Miotacz min szóstego pułku na pozycyi.

ADAM WIARYGA MINIESKI

# Miłość i wojna

Powieść z dni ostatnich.

13

Anielka była pod urokiem tego piękna rozkwitłej przyrody, a jednak nie znalazła w tym ogrodzie tego, czego szukała. Nie poczuła się zjednoczoną z przyrodą, tak, jak to bywało dawniej na wsi. Park, mimo całej swej piękności, wydał się jej tworem sztucznym, dekoracyjnym, wobec innych obrazów, które nosiła w duszy.

Ogarnęła ją coraz silniejsza nostalgia za krajem i tęsknota za wsią, którą po raz pierwszy opuściła na tak długo.

Myśl jej na skrzydłach tęsknoty biegła do kraju, oblekając wieś rodzinną w czary i uroki jakiegoś wyśnionego raju.

Wyobrażała sobie, przypominała, że tam teraz inaczej wyglądać musi.

Młoda zieleń, jasna, bujna, świeża, soczysta roztacza wszędy swój przepych, obwieszczając wiecznie odradzające się życie.

I tam kwitną sady, drzewa owocowe stoją w jasnej, weselszej szacie — nie tak równo i symetrycznie rozłożone, jak tutaj, ale rozrzucone wokół chat swobodnie, jakby niedbale.

W gajach kwitną leśne fijołki, przylaszczki, sasanki, rudzieje, czerwonawe złoto przekwitających pierwiosnków.

Na łąkach widnieją żółte jaskry i mlecze, a smukłe rumianki podnoszą swoje białe główki, tuż przy ziemi tulą się małe, skromne kwiateczki, „sierotki", jak je lud nazywa.

Nad rowami błękitnieją kępki niezapominajek i bieleje rzeżucha wodna. Wśród młodych, jasnozielonych zbóż zamodrzą się już gdzieniegdzie pierwsze bławatki lub błyśnie purpurą przedwczesny, samotny mak.

Wieczorem odzywają się chóry żab, a przez dzień cały rozbrzmiewają pieśni pasterzy, pasterek przy bydle — pieśni proste, nie uczone, rozgłośne — raz wesołe, dziarskie, a innym razem smętne, żałośliwe, zawodzące.

Anielce zdawało się, że z tchnieniem wiatru, otrząsającego kwietne płatki z drzew, przyleciała do niej ulubiona piosenka pasterek:

„Nie będę ja pasła
Za garnuszek masła,
Ani za pół serka,
Bo ja nie pasterka. ."

A na wsi wre teraz życie, praca, ruch... Pracownicy rolni, oracze ziemi-matki krzątają się, jak roje pszczół pracowitych, po polach i łąkach, trzymając rękę na tętnie przyrody, wyczuwając jej usposobienie, kaprysy, niespodzianki.

Anielka w tęsknocie swojej idealizowała cel swych marzeń, zapominała o melancholii, jaka ją ogarniała nieraz na wsi w dni chmurne, mgliste, deszczowe.

Nie pamiętała o tem teraz i jedno tylko czuła pragnienie: wrócić jak najprędzej do tej wsi ukochanej, przecudnej, szukać w jej ciszy i czarze ukojenia dla ran serdecznych!

— Kiedyż się spełni moje marzenie? — wzdychała Anielka. — Może, może już niedługo!

Echa ofenzywy majowej, wypierającej Rosyan z Galicyi, budziły w sercach polskich wychodźców nadzieje, że już rychło skończy się ich tułaczka...

I dlatego Anielka marzy coraz częściej, coraz śmielej o powrocie do swojej wsi...

Tam może odnajdzie samą siebie. Tutaj w mieście zbyt wiele gwaru, hałasu ogłuszającego i na każdym kroku za dużo ludzi.

Ot! i teraz Anielka pragnęłaby iść samotnie przez ten biały, kwitnący ogród, a co chwila spotyka ludzi i mimowolnie musi obserwować, zastanawiać się, a takby jej dobrze było, gdyby mogła przestać myśleć.

Mija teraz ławkę, na której siedzi młody żołnierz, ranny, przystojny dziarski chłopiec z jedną z tych śmiałych twarzy, które zdają się mówić: „przybyłem, zobaczyłem i zwyciężyłem".

Obok niego po jednej i po drugiej stronie siedzą dwie młode dziewczyny. Obie wpatrone w żołnierza z nieukrywanym zachwytem, z podziwem, z miłością. Ale młodzieniec zwraca się z uśmiechem do jednej z nich tylko, więc druga blednie, smutnieje, chyli głowę, jak kwiat złamany.

Aleją snują się młode pary, niektóre przytulone do siebie blizko. Powietrze, zda się, dyszy szmerem słów miłosnych i żarem pocałunków.

Anielce wilgotnieją oczy, żałość zalewa serce.

Naprzeciw niej idzie teraz para ludzi, których zna dobrze. To Józia, śliczna i świeża w swojej różowej, batystowej sukience, jak kwiat majowy, a obok niej Zarnicki, wpatrujący się w swoją towarzyszkę z rozmarzeniem, które twarz jego o nieregularnych rysach i szarej cerze czyni prawie ładną.

— Szczęśliwa Józia — myśli Anielka — już zapomniała o swoich jednodniowych troskach...

W tej chwili przechodzi koło Anielki młoda Czeszka, którą zna dobrze z widzenia. Spotykała ją przecież codziennie, wspartą na ramieniu wysmukłego młodzieńca. Dlaczegoż dzisiaj idzie sama, dlaczegoż tak blada, smutna, zapłakana?...

Aha, prawda! Anielka przypomniała sobie, że to właśnie wczoraj musieli świeżo powołani żołnierze zgłosić się do szeregów...

Spojrzeniem pełnem współczucia obrzuca Czeszkę, chciałaby jej powiedzieć:

— Nie płacz, nie rozpaczaj! Tyś szczęśliwsza odemnie. Twój może jeszcze wrócić!

Na zakręcie alei ukazało się kilku chłopców w mundurkach gimnazyów galicyjskich. Trzymali w rękach mandoliny i stroili je, przygotowując się do odegrania jakiejś melodyi.

Zdawało się, że w tej atmosferze drzew kwitnących i szeptów miłosnych nie może wyrwać się z serc młodych inna pieśń, jak tylko jakaś piosenka o wiośnie, młodości, szczęściu, kochaniu...

Gimnazyaliści uderzyli w struny, wtórując sobie do śpiewu:

„Jak mi smutno tu w tej ziemi,
Ja do mojej wrócić rad,
Między ludzi tu obcymi
Tułam ja się tyle lat.
W cudzym kraju inne statki,
Inny zwyczaj i obyczaj,
Uśmiech ludzki dla mnie rzadki,
Do ojczyzny, Boże, daj!
Tam ja znałem każdą górę,
Każdy strumień, każdy gaj,
Tu mi wszystko jest ponure.
Do ojczyzny, Boże, daj!
Boże z Nieba wysokiego,
Ty wśród lasów prowadź łódź,
Skróć wędrówkę ludu Twego,
Do ojczyzny mej mnie wróć!..."

I płynęła wśród sadów kwitnących, w blasku cudnego dnia wiosennego ta stara polska pieśń tułacza...

— — — — — — — — — — — — —

Anielka zmęczona spacerem usiadła na ławce obok jakiegoś bardzo mizernego żołnierza, którego żółtawa cera i głęboko zapadłe oczy zwracały uwagę. Wyglądał, jakby dopiero co powstał z ciężkiej choroby.

Anielka miała zamiar czytać i rozwinęła trzymaną w ręku gazetę. Żołnierz rzucił spojrzenie na dziennik.

— Slečna Polka? — zapytał nagle.

— Tak jest.

— No, to ja pani coś pokażę — mówił dalej po czesku żołnierz. — Ja mam także polską książkę, może ona panią zainteresuje.

Sięgnął do kieszeni i wyciągnął małą czarną, skromną, w papierowe okładki oprawną książeczkę.

Podał ją Anielce. Otwarła książkę i przeczytała tytuł: "Zdrowaś Marya — modlitwy do Matki Boskiej".

Była to jedna z tych małych, tanich książeczek do modlitwy, które sprzedaje się zwykle na odpustach.

Żołnierz objaśniał:

— Było to po bitwie w Królestwie Polskiem. Rosyanie cofnęli się, pozostawiając nam plac boju, a na nim rannych i zabitych. Pomagałem wówczas sanitaryuszom. Przy jednym z martwych żołnierzy rosyjskich znalazłem tę książeczkę. Wziąłem ją na pamiątkę. Tam jest podpis. O! niech pani czyta. Ja także potem byłem ranny, ciężko ranny, a następnie przechodziłem tyfus i zapalenie płuc, ale przecież wyzdrowiałem i żyję!

W głosie żołnierza zadźwięczał tryumf, radość życia, które zwyciężyło!

Anielka czytała naprzód słowa pisane niezgrabnemi literami:

*Niech cię Matka Boska prowadzi, mój synu, i do nas szczęśliwie powróci.*

A potem podpis pewniejszem już, równiejszem, męskiem pismem skreślony:

*Władysław Wójcik, ur. 1891 r., gub. Kielecka, gmina . . .*

Czarna, na bibulastym papierze drukowana książeczka drżała w rękach Anielki. Łzy przesłoniły jej litery.

Był młody, miał matkę, a może i dziewczynę kochaną...

Nie wróci już, nie zobaczy już nigdy wsi swojej w szacie weselnej kwitnących sadów...

Zginął! Z czyjej ręki?! Może...

O! dolo polska, nie masz ty piór, jako gołąb białych i nie kąpiesz ich w blaskach słońca, ale skrzydłami, jak kruk czarnemi, łopoczesz po nocy do okien naszych i płoszysz sen i w duszach dzieci gasisz radosną beztroskę młodości...

O! dolo polskiego żołnierza! Płaczą nad tobą szumy twych borów, dzwonią o tobie dzwonki liliowe cichym wieczorem, śpiewa o tobie pieśń-legenda!

— — — — — — — — — — — — —

Anielka chciała już opuścić park, kiedy tuż przy wejściu spostrzegła siedzącego na ławce Jurka Legionistę.

Znała go dobrze, bo zuchowaty chłopiec był ulubieńcem pani Krystyny i odwiedzał ją często.

Jurek trzymał w ręku jakieś drobno zapisane kartki papieru i czytał. Był tak zatopiony w czytaniu, że nie zauważył Anielki.

Chłopiec miał na twarzy wypieki, a oczy błyszczały mu jakimś nieopisanym zapałem i niezwykłem podnieceniem.

Anielka uśmiechnęła się mimowolnie.

Może jakiś list miłosny — pewnie pierwsza wiosenna miłość motyla...

— Panie Jurku! Czy wolno wiedzieć, co pan tak zajmującego czyta, że nawet nie spostrzega znajomych?

Chłopiec podniósł oczy. Głos Anielki wyrwał go widocznie z jakichś krain wyobraźni, bo przez chwilę spoglądał na pół przytomnie.

Po chwili zoryentował się, kto przed nim stoi i co mówi, zapomniał jednak o ukłonie i zwykłych słowach powitania i głosem drżącym ze wzruszenia zaczął:

— Ach! gdyby pani wiedziała, jakie ja cudne rzeczy czytam... Przysłał mi to kolega z frontu... Przepisał te wiersze z jakiejś gazety, czy książki, która mu przypadkiem wpadła w ręce... Bo to w Warszawie wyszło... Wie pani, jak zacząłem czytać, to doprawdy od tej chwili nie wiem, na którym świecie jestem... O, niech pani słucha, niech pani słucha!...

Jurek zaczął czytać:

O, synu mój, na wszystkich frontach,
od płowej Wisły aż po Ren,
przy zapalonych stojąc lontach
my swój o Polsce śnimy sen..
. . . . . . . . . . . . . . . . . . .
Lecz, synu, nie mów nic o zdradzie,
to w niemilknącym huku dział
nasz sen rycerski, sen o szpadzie
wreszcie się dzisiaj jawą stał.

Anielka słuchała, porwana zapałem chłopca i głębokiem, a tak prostemi i jasnemi, jak pieśń wieśniacza, słowami poety.

— Czuje pani, jakie to prawdziwie nasze, jakby z pod serca każdemu Polakowi wyrwane!... Niech pani słucha!

Jurek czytał dalej:

Bo wciąż na jawie widzę
i co noc mi się śni,
że Ta, co nie zginęła,
Powstanie z naszej krwi.

## ROZDZIAŁ XV.

Radca Maliniewicz, ojciec Józi, stał przed dworcem kolejowym w Pradze i namyślał się, czy lepiej wsiąść w tramwaj lub dorożkę, czy też udać się piechotą do mieszkania córek.

Pakunków większych nie miał żadnych, małą tylko walizkę ręczną trzymał w ręku.

— Ej! przejdę się chyba — zadecydował wreszcie. — Dzień bardzo ładny, więc obejrzę sobie miasto... Na irytacyę dość będzie czasu! Tak, to nawet konieczne, żebym ochłonął trochę, bo mogłaby mnie jeszcze z gniewu apopleksya trafić!

W miarę okrągła, świeża, rumiana twarz Maliniewicza nie zdradzała jednakowoż skłonności do apopleksyi. Była to fizyognomia człowieka zdrowego, dobrze odżywianego, który szedł w życiu utartą drogą, nie przezwyciężając żadnych większych przeszkód i nie przejmując się niczem zbytnio, a używał łatwych przyjemnostek życia, niezdolny do uczuć głębokich, lub szalonych porywów.

Rysy twarzy miał radca Maliniewicz regularne, siwiejący wąs przystrzyżony po angielsku, więc przy świeżości cery i wielkiej staranności o wygląd powierzchowny przedstawiał typ eleganckiego, „dobrze zakonserwowanego" i bardzo jeszcze przystojnego starszego mężczyzny.

Twarz jego mogłaby złudzić wyrazem dobroduszności, gdyby nie zimne, stalowe błyski, które w pewnych chwilach zapalały się w oczach radcy i gdyby nie twardy, despotyczny rys koło ust.

Maliniewicz zapytał stojącego na rogu ulicy policyanta o kierunek drogi i skierował się ulicą Hybernską w dół.

Z bocznej kieszeni podróżnego palta wyciągnął portfel, wyjął z niego list i czytał z irytacyą:

Wielce Szanowny Panie!

Obowiązek uczciwego i honorowego człowieka zniewala mnie do doniesienia Panu, że Pańskie dobre imię wystawione jest na szwank.

Pańska córka, Józefa, zachowuje się lekkomyślnie, w sposób zupełnie nie odpowiedni dla młodej, dobrze wychowanej panienki.

Wyzywająca jej kokieterya i śmiałe zachowanie się wśród męskiej młodzieży budzą oburzenie osób starszych i poważnych.

Ponadto szeroko mówią o tem, że zawiązała ona romans z niejakim Żarnickim, człowiekiem marnym, cieszącym się jak najgorszą opinią. Z tym to Żarnickim odbywa córka Pańska sam na sam długie, dalekie spacery. Odwiedza on ją podobno także w domu.

Więcej pisać nie chcę, bo przykro mi ranić serce ojcowskie.

Przyjazd Pański jest konieczny, albowiem córka Pańska kompromituje się na każdym kroku.

Pozostaję z poważaniem
szczerze życzliwy
„Przyjaciel".

Radca Maliniewicz z gniewem zmiął list w dłoni. Czytał go już kilkakrotnie zawsze z tem samem uczuciem niepohamowanego gniewu, skierowanego wszakże nie przeciw „życzliwemu przyjacielowi", którego „obowiązek honorowego człowieka" zniewalał do pisania anonimowych listów, ale przeciwko córce.

To ona była powodem, że ktoś ośmielił się napisać taki list do niego, do Maliniewicza, ta niespokojna, nieposłuszna dziewczyna, która mu zawsze sprawiała kłopoty.

— No, dam ja jej! — obiecywał sobie — Popamięta długo! Wywietrzeją jej z głowy głupstwa, odechce się jej romansów! Na najsurowszą pensyę, jaka tylko istnieje, oddam! Niech tam sobie z nią radzą, niech wypędzają tego dyabła, który siedzi w niej od najmłodszych lat! A to plaga egipska nie dziewczyna! W matkę się wdała!...

Radca zastanowił się przez chwilę. Czyżby istotnie w matkę?...

Musiał przecież przyznać sam przed sobą, że żona jego była kobietą cichą, spokojną, bez temperamentu — umiała tylko płakać i skarżyć się jękliwie.

Nie po niej więc odziedziczyła Józia swoje żywe usposobienie.

— Hm! — mruknął radca — Mężczyzna, to co innego, a taka smarkata powinna patrzeć w książkę i słuchać! Jak przyjdzie czas, to się o niej pomyśli!

Ten czas „myślenia" odkładał sobie wszakże Maliniewicz na czas nieograniczony i nie miał wcale zamiaru kłopotać się przedwcześnie przyszłością córek. Wogóle starał się zawsze o to, aby mu córki jak najmniej sprawiały zachodów.

Dawał przecież pieniądze, co prawda, dawał o ile mógł najmniej, ale ostatecznie płacił za wszystko, czego było koniecznie potrzeba.

Dziewczęta były zawsze porządnie ubrane, chodziły do szkoły, uczyły się oddzielnie języka francuskiego i gry na fortepianie.

W życie duchowe córek swoich Maliniewicz nie wglądał, pozwalał im swobodnie rozwijać się pod wpływem służących i koleżanek.

O tem, że dziewczynkom brakować może ciepła ogniska domowego i troskliwszej opieki — radca nie myślał nigdy. Dlatego też Maliniewicz wyraźnie faworyzował młodszą, Kazię, bierną, cichą dziewczynkę, która pilnie uczyła się lekcyi i była zawsze „grzeczną". Nie miała specyalnych wymagań i nie mąciła ojcu żadnym wybrykiem swawoli dziecinnej zadowolenia z codziennego życia.

Natomiast Józia od najmłodszych lat przyprawiała ojca o irytacyę swoim wybuchowym temperamentem i nieobliczalnem usposobieniem.

Uczyła się nierównomiernie; najczęściej przynosiła do domu złe świadectwa, niekiedy zaś, zwykle na krótko, napadał ją szał pilności i wówczas czyniła nadspodziewane postępy w nauce.

Ojcu nieraz odpowiadała hardo, czasem jednak rzucała mu się ni stąd ni zowąd na szyję z jakąś zbudzoną nagle w głębi jej młodego serca czułością, którą radca uważał za zbyteczną i egzaltowaną.

Miewała różne zachcianki: to chciała uczęszczać na lekcye tańca, to znów kiedyindziej pragnęła uczyć się jeździć na rowerze.

Ojciec próbował raz umieścić ją w małem miasteczku u dalekiej krewnej swojej, zwiędłej, zasuszonej, pedantycznej, starej panny.

Józia uciekła stamtąd po kilku dniach. Nie miała pieniędzy na jazdę koleją, więc przeszła piechotą kilka mil podczas deszczu i zjawiła się w domu zmoczona, przeziębiona, zachrypnięta.

Kiedy Józia zaczęła wyrastać na ślicznego podlotka, nastały nowe utrapienia.

Wieczorem studenci gimnazyalni przeciągali z mandolinami długim szeregiem pod oknami mieszkania radcy. W książkach szkolnych i zeszytach Józi pełno było różowych i niebieskich arkusików, zapisanych wierszami w rodzaju:

„I dziwię się, że kwiaty z pod stóp Twych nie rosną..." lub „Szukałem Ciebie między kwiatami..." albo „Czy ja Cię kocham, pytaj słowika!!..."

Co jakiś czas zjawiały się u Maliniewicza rozżalone matki ze skargą, że synowie ich zaniedbują naukę szkolną przez Józię. Jeden nawet pono za myślał o samobójstwie, inny więcej pomysłowy chciał utopić rozpacz bezwzajemnej miłości w awanturniczych przygodach i zamierzał zostać chłopcem okrętowym.

Józia płakała, przysięgała, że na żadnego chłopca już nie spojrzy, ale po pewnym czasie powtarzało się to samo z różnymi waryantami.

W takich wypadkach brała zawsze Józię w obronę stara kucharka, która służyła jeszcze u jej matki.

Aby pocieszyć swoją ulubienicę, „biedną sierotę", jak ją nazywała — buntowała dziewczynkę przeciwko ojcu. Użalała się nad losem „sieroty" i opowiadała, jak bardzo i dlaczego była nieszczęśliwą jej matka.

Józia przedwcześnie poznawała tajemnice życia i stopniowo traciła szacunek do ojca. Garnęła się natomiast bez wyboru do wszystkich, którzy jej okazywali trochę uczucia. Tymczasem Józia rosła i stawała się coraz ładniejszą.

Wkrótce już nietylko chłopcy w mundurkach gimnazyalnych oglądali się za nią.

Kiedy przyszła wojna, a z nią ewakuacya Krakowa, radca Maliniewicz wysłał córki ze służącą do Pragi.

Pociągnęło to wprawdzie za sobą pewne wydatki, ale było dla radcy bardzo wygodne.

Maliniewicz spojrzał znowu na anonimowy list. Nie! to coś niesłychanego!

Radca był niezmiernie czuły na punkcie słowa „kompromitacya", a tu dowiaduje się, że jego córka „kompromituje się na każdym kroku".

Krew w nim zakipiała, irytacya jego wzrosła do tego stopnia, że zląkł się ponownie o swoje zdrowie.

Wzburzone jego nerwy uspokoiły się trochę pod wpływem ruchu ulicznego. Wszedł właśnie na „Přikopy" i ta żywo pulsująca arterya ruchu praskiego zajęła jego uwagę.

— Bardzo porządne miasto — mówił do siebie — jakie kamienice czteropiętrowe, jakie sklepy z delikatesami, to tu widocznie na jednej ulicy jest kilku „Hawełków". Ruch, życie i co za szykowne kobietki! To nie tak, jak teraz w naszym pustym, ospałym Krakowie, skąd się wszystko „wyewakuowało"! E! może to dobrze, że człowiek wyrwał się z tych nudów krakowskich! Bardzo porządne miasto ta Praga, wesołe zdaje się. Jak sobie tylko zepchnę z głowy tę irytacyę z Józką, będzie się można zabawić!

Radca rzucił uważne spojrzenie w wielką taflę lustrzaną na jednej z wystaw sklepowych. Zupełnie zadowolony z przeglądu swej osoby, poszedł dalej.

Na rogu ulicy zapytał znowu policyanta o drogę na „Vinohrady". Stróż bezpieczeństwa wskazał mu plac Wacława.

Bar-automat, przepełniony jak zwykle w porze przedobiedniej, zwrócił jego uwagę.

— Warto się czego napić — pomyślał — z podróży człowiekowi w gardle zaschło, a przytem irytacya mnie czeka... Trzeba się odświeżyć trochę... Piwo tu podobno pierwszej klasy... Oryginalny pilzner bardzo tani... Trzeba spróbować... Tylko żeby tak przed tem piwskiem znalazł się jakiś kieliszek wódeczki i przyzwoita zakąska.

Wszedł do wnętrza baru. Przez chwilę obserwował z zajęciem manipulacyę automatycznej obsługi gości. Widział już takie automaty niegdyś w Wiedniu i był ogromnym ich zwolennikiem.

— To jest po europejsku! Wrzucisz dwadzieścia halerzy, leje się piwo, wrzucisz drugie dwadzieścia halerzy, jedzie sobie „kanapka" z kawiorem albo łososiem... Bardzo praktycznie... I czekać nie trzeba i napiwków się nie daje... W Wiedniu tak samo... Że też to w naszym konserwatywnym Krakowie czegoś podobnego nie zaprowadzą! A czy oni tylko mają tutaj jakąś wódkę?

Znalazł napis „polská žitná", podszedł więc, wrzucił monetę niklową, podstawił skrupulatnie kieliszek i czekał.

— Niepełno! Wszędzie oszukują!

Wypił.

— Niezła! Możeby tak jeszcze jeden, ale samemu, to nudno...

W tej samej chwili zbliżył się się do niego jegomość z rudawą hiszpańską bródką, ubrany z mocno wyszarzaną elegancyą. Zdjął w grzecznym ukłonie wytarty cylinder i zaczął:

— Przepraszam, że pozwalam sobie zaczepić, ale będę mógł może służyć jakiemiś informacyami. Odgaduję, że pan dobrodziej Polak i przybywa prosto z dworca kolejowego... Ja Pragę znam doskonale, a dla każdego rodaka jestem zawsze gotów na usługi.

Pan dobrodziej pozwoli, że się przedstawię. Jestem Jerzy Alfred Jan Potyra-Potyrowski, inżynier ze Lwowa.

Ilość imion i skombinowane nazwisko zaimponowały radcy. Uprzejmie wyciągnął rękę.

— Bardzo mi przyjemnie poznać. Radca Maliniewicz z Krakowa. Ale po czem pan poznał, że jestem z Krakowa!

— Rodaka się wyczuje, łaskawy panie, a zresztą widziałem, że pan dobrodziej prościuteńko zmierza do „polskiej żytniej".

— A możebyśmy się tak napili — zaproponował radca, zadowolony, że znalazł towarzysza.

— Hm! Zwykle przed obiadem nie pijam...

— Jeden nie zaszkodzi... Nową znajomość trzeba oblać!

— A, w takim razie chętnie...

Wypili po kieliszku wódki raz, drugi... Radca zaprosił nowego znajomego na przekąski, a następnie zaproponował, aby się napili piwa.

— Jeżeli się jest w sercu Czech, trzeba skosztować słynnych piw czeskich...

— Ależ, panie radco, któż widział pić piwo w „automacie". Na piwko chodzi się do piwiarni — tam się dostaje świeżuteńkie — prosto „od čepu", jak mówią Czesi... Jeżeli pan radca chce wypić „bombkę" dobrego piwa, to służę jako przewodnik. Tutaj niedaleko jest piwiarnia, gdzie piwo podają „prima prima".

...Zawahał się przez chwilę. Przypomniał sobie sprawę, która była powodem jego przyjazdu do Pragi. Wahanie trwało wszakże krótko.

— A niech irytacya poczeka. Dość będzie czasu! Szelma Józka zyska na tem jaką godzinę! A ja ochłonę trochę.. Zwrócił się do Potyrowskiego.

— Jeżeli pan tak łaskaw, to możemy iść. Czy to daleko ta piwiarnia?

— Nie! Tu zaraz — blizko, bliziutko — kilka minut drogi.

Weszli do wielkiej, eleganckiej piwiarni, połączonej z restauracyą.

Usiedli przy stoliku. Potyrowski wielkopańskim gestem przywołał kelnera i kazał podać dwa „duże" piwa i spis potraw.

Po kilku „kolejkach" pomiędzy nowymi znajomymi panowała taka harmonia, jak gdyby się znali od dawna.

Potyrowski wtajemniczał radcę, gdzie i jak w Pradze zabawić się można.

— A do której godziny tutaj „lokale" otwarte? — pytał Maliniewicz...

— Rozmaicie — jedne do dwunastej, inne do pierwszej, inne jeszcze do drugiej w nocy!

— No tak, to rozumiem! Tutaj się przynajmniej wojny nie czuje! A u nas, panie tego, w Krakowie — twierdza! O dziesiątej „szlus"! Wszystkie knajpy zamykają i idźże człowieku spać o tej godzinie, o której cię do snu układali, kiedyś był niemowlęciem!

— — — — — — — — — — — — — —

Radca przez cały dzień i większą część nocy „poznawał" w towarzystwie Potyrowskiego — wesołe życie Pragi.

Resztę nocy przepędził w hotelu, a w mieszkaniu córek zjawił się na drugi dzień koło południa — bez walizki ręcznej, którą zgubił gdzieś w czasie swej wędrówki nocnej — ale zato z portfelem do połowy wypróżnionym z pieniędzy, z bólem głowy i z „katzenjammerem".

(Ciąg dalszy nastąpi.)

## Z gospodarki austryackiej w Królestwie Polskiem.

W poprzednim numerze pisaliśmy o szkolnictwie polskiem, rozwijającem się tak pomyślnie na terenie Królestwa Polskiego, okupowanym przez wojska austro-węgierskie. Ale wre tam praca nie tylko na polu oświaty. Rządy rosyjskie, tamujące akcyę społeczeństwa, pozostawiły tam braki i zaniedbania we wszystkich dziedzinach życia publicznego. Wymownym tego przykładem jest brak i zły stan dróg na obszarze Królestwa Polskiego. Władze austryackie zabrały się też energicznie, aby i pod tym względem poprawić stosunki. Ponaprawiano zepsute drogi, pobudowano nowe, jak również i mosty.

W obwodzie piotrkowskim rozwinął energiczną i owocną w tym kierunku działalność radca budownictwa, inż. Ksawery Pietraszkiewicz. Między innemi puścił on w ruch kolej lokalną Sulejów-Piotrków, wybudował drogę Gorzkowice-Radomsk, most w Przygłowie i t. d.

Zasługi inż. Pietraszkiewicza około uzdrowienia stosunków komunikacyjnych oceniły należycie zarówno władze austryackie, jak i społeczeństwo piotrkowskie. Wyrazem uznania dla jego zasług na tem polu, był też niewątpliwie żal, z jakim żegnano niedawno inż. Pietraszkiewicza, przeniesionego na nowe stanowisko z Piotrkowa do Lublina.



**Z gospodarki austryackiej w Królestwie Polskiem:** Budowa drogi Gorzkowice-Radomsk.

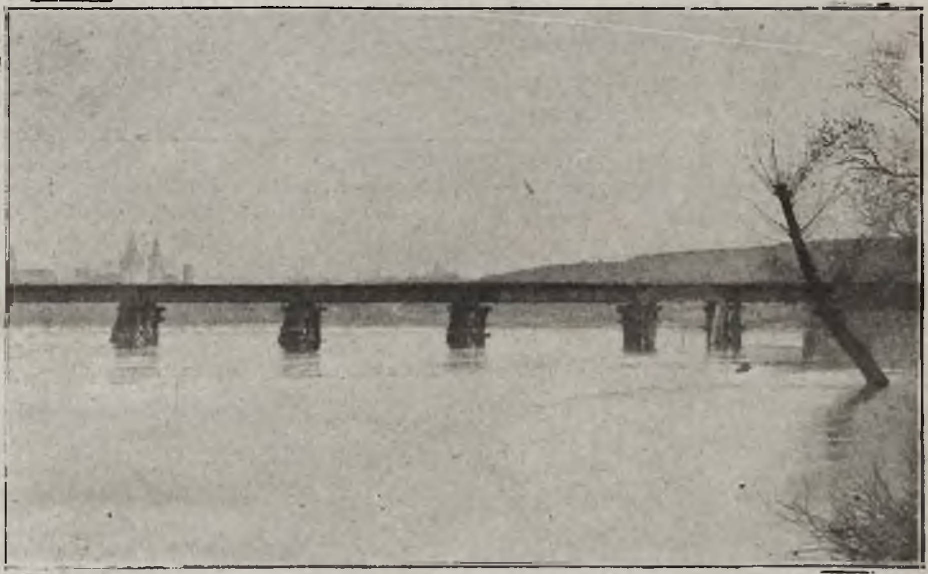
## Z włoskiego frontu.

Ze wszystkich państw, biorących udział w wojnie, Włochy najpóźniej wystąpiły do walki, ale może też należycie się uwypukla w zestawieniu z rezultatami całorocznych wysiłków włoskich.

W dwa dni po wypowiedzeniu wojny rozpoczęła się pierwsza ofenzywa włoska. Już 27 maja padły pierwsze granaty włoskie na pozycye austryackie nad Soczą (Isonzem). Ofenzywa ta rozwijała się powoli. Dowództwo włoskie powoli tylko wzmacniało swoje szturmujące kolumny. Naipierw posłano pułki, bo w przekonaniu, że droga nie tylko do Tryestu, ale do Wiednia stoi otworem. Dopiero 5 lipca przyszedł Cadorna do przekonania, że nad tą niewielką słowiańską rzeką ma do przezwyciężenia opór większy, niż mógł przypuszczać. Więc rozwinął całą trzecią armię do ataku. Cztery korpusy, 160.000 karabinów i blizko 1000 dział wprawił Cadorna w ruch, ale napróżno. Oprócz nieprzejrzanego pola trupów włoskich, nie osiągnął nic więcej. Linie austryackie nie wygięły się ani na metr. Na tem skończyła się pierwsza wielka ofenzywa.



Budowa drogi Gorzkowice-Radomsk.



**Z gospodarki austryackiej w Królestwie Polskiem:** Nowy most na Pilicy pod Sulejowem.

i największego doznały rozczarowania. Po roku kampanii, która miała zadecydować o losach wojny, armia włoska nie tylko nie mogła poszczycić się żadnym sukcesem, ale poniosła dotkliwą klęskę, zmuszona cofnąć się na terytoryum własnego państwa. Ten sukces kilkunastodniowej ofenzywy austryackiej

W dwa tygodnie później nastąpiła druga, już dwiema armiami. Objęła 30 kilometrów frontu bojowego, trwała dziesięć dni, kosztowała Włochów 100.000 ludzi i skończyła się tak samo, jak pierwsza.

Pauzę wypełniają mniejsze, równie bezskuteczne walki na pograniczu tyrolskiem i karynckiem. Równocześnie czyni się wielkie przygotowania do trzeciej ofenzywy nad Soczą. Cadorna gromadzi tu 25 dywizyj w 7 korpusach, więc 320.000 karabinów, 1500 armat. Równocześnie 11 dywizyj w 4 korpusach (170.000 karabinów i 800 armat) atakuje front tyrolski i karyncki. Dnia 16 października rozpoczyna się ta straszliwa bitwa na przestrzeni 400 kilometrów, kończy się 31 października stratą 150.000 rannych i zabitych Włochów i absolutnie żadnym zyskiem. Socza także i tym razem nie przekroczona.

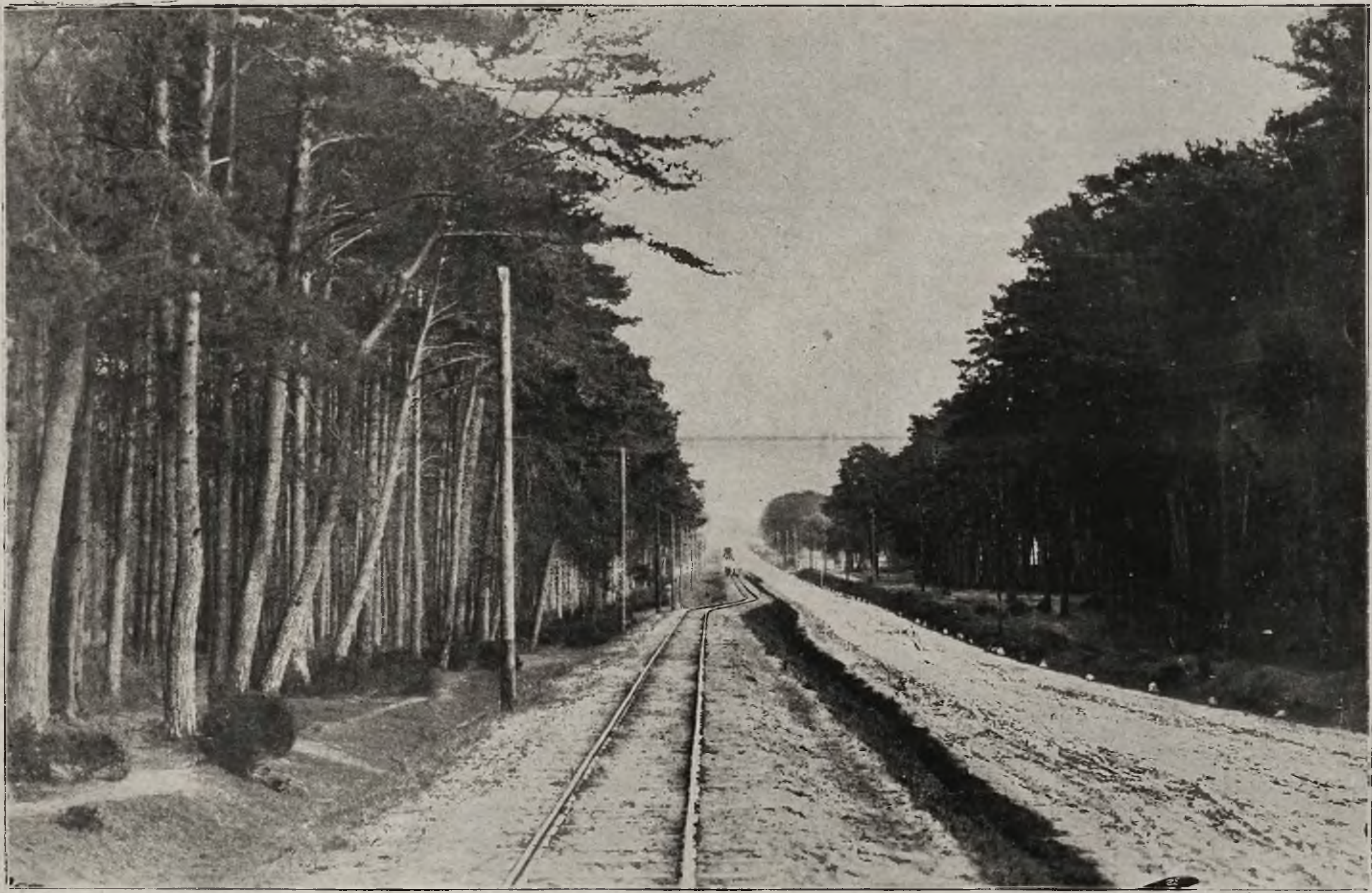
Ale 1 grudnia zbiera się parlament włoski. Parlament musi mieć przynajmniej pozór zwycięstwa. I oto na rozkaz króla, Cadorna po raz czwarty rzuca swoje dywizye na brzegi tej dziwnie błękitnej, tajemniczej rzeki. Jest to czwarta ofenzywa włoska, ktora po pięciodniowych walkach (22 do 27 listopada) kończy się — czwartą klęską Włochów... 70.000 nowych trupów i kalek.

Znowu zbiera się parlament w marcu i znowu Cadorna rozpoczyna 13 tego miesiąca piątą z rzędu ofenzywę nad Soczą i ponosi — piątą klęskę.

Aż wreszcie przyszedł dzień 15 maja. Wojska austryackie, trzymające się dotychczas w defenzywie, przeszły z swej strony do ofenzywy... Jaki był jej przebieg, wiemy z niedawnych sprawozdań wojennych. Armia włoska zmuszona była ustąpić z zajętych z takim trudem i okupionych tylu ofiarami pozycyj... Jak druzgocącym był impet ofenzywy au-



**Z gospodarki austryackiej w Królestwie Polskiem:** Świeżo wybudowany most w Przygłowie.



**Z gospodarki austryackiej w Królestwie Polskiem:** Kolej lokalna Sulejów-Piotrków, puszczona w ruch przez inżyniera Pietraszkiewicza.

stryackiej, stwierdzają to nawet włoskie dzienniki. Sprawozdawca wojenny „Corriere della Sera", opisując bitwę na linii pomiędzy Rovereto i Borgo, daje następujący obraz tej wstrząsającej walki:

„Nad Sette Commnni unosiły się trzy samoloty. Samoloty te dały bateryom austryackim rozkaz wymierzenia pięciu dział na Asiago. Ludność nie była w stanie wytrzymać tego straszliwego ognia wraz z jego niszczącem działaniem i rzuciła się do ucieczki. Działa austryackie rzucały z pola śniegowego z okropnym hukiem pociski z odległości szesnastu kilometrów. Pociski te ryły w ziemi olbrzymie kra-



**Odbudowa Galicyi:** Zburzone domy na ulicy Bankowej w Gorlicach.



**Z włoskiego frontu:** Zbombardowany zamek w Roveretto.

tery. Ogniem dział różnego kalibru Austryacy stworzyli gigantyczny orkan. Działa austryackie ziały ogniem ku linii szerokiej zaledwie na czterdzieści kilometrów i łomotały w ten sposób we wrota Włoch. Była to trwogę wywołująca, bezlitosna robota. Na podobieństwo gradu spadały pociski tak gęsto i tak straszliwie na ziemię, iż włoskie rowy strzeleckie zniknęły. Nawet kamień z nich nie pozostał.

Tego dnia niezapomnianego wszelkiego rodzaju działa, od małych górskich armat, aż do dział najcięższego kalibru, siały śmierć i zniszczenie. — Na Alti Paiani, pomiędzy Asiago i Costa Alta pod Folgnotą i Roveretto pracowały moździerze austryackie z okropnym wprost wynikiem. Następnie w gęstych masach ruszyła piechota. — Słychać było oficerskie słowa komendy, aż wreszcie wszystko to stopiło się w jeden chaos na linii ognia. Na polach śniegowych rozpoczęła się okrutna walka. O rowach strzeleckich nie było już mowy. Ogłuszeni straszliwym koncertem walczyli włoscy strzelcy alpejscy z przeważającym wrogiem i musieli uledz przewadze. — Nadeszła noc, nie przynosząc jednak spokoju. W białe płaszcze odziana zwróciła piechota austryacka, przy nieustannym grzmocie swej artyleryi, ataki na nasze z trudem walczące oddziały".

Ten sam dziennik włoski podaje inne szczegóły o równie strasznym skutku działania artyleryi austryackiej i o zaciętości walk na włoskim froncie. Przedewszystkiem przyznaje, że „przygotowania wojenne po stronie austryackiej, prowadzone od dwóch miesięcy, wydały owoce, których skutek okazał się niezwykły.



**Z gospodarki austryackiej w Królestwie Polskiem:** Pożegnanie radcy budownictwa, inżyniera Ksawerego Pietraszkiewicza (X) w Piotrkowie.






Obiad oficerów austryackich w pałacu Puccinich w Roveretto. **Z włoskiego frontu:** Oficerowie austryaccy przed kawiarnią w Roveretto

Piekielnemu ogniu artyleryi austryackiej nic nie mogło się oprzeć. Wszystkie pozycye zostały zryte pociskami. Wierzchołki gór i zbocza zmieniły swoje kształty. — Dopiero po najstaranniejszem przygotowaniu artyleryjskiem szła piechota austryacka do szturmu.

Zapowiedzieli szturm jeneralny na drugi dzień, o godzinie szóstej wieczorem. Zapowiedź ta sprawdziła się. Przez dwanaście godzin szalał orkan pocisków austryackich. Wszystkie osłony zostały zburzone. Nie istniały już żadne rowy.

Dopiero wówczas ruszyła piechota austryacka w gęstych masach. Nic nie powstrzymało jej pędu — żadne straty. Wszelkie luki wypełniały się natychmiast rezerwami.

Kilka razy odrzucona piechota austryacka szła ponownie do szturmu".



**Z gospodarki austryackiej w Królestwie Polskiem:** Budowa drogi Gorzkowice-Radomsk.

## Śmierć na polu chwały.

Gigantyczne iście zmagania się przeciwników na polu walki, trwające już prawie dwa lata, pociągają też za sobą i liczne ofiary. Wiele rodzin, które wysłały swych ojców i synów w bój, okryła ciężka żałoba, w tem jednak nieszczęściu pociesza je przeświadczenie, że umrzeć z nas każdy musi, a śmierć na polu chwały już starożytni uważali za zaszczytną i nieraz prozą i wierszem opiewali bohaterskie czyny wojowników, którzy padli w obronie swej



**Z włoskiego frontu:** Moździerz austryacki po celnym strzale na pozycyi

ziemi i w jej łonie znaleźli zasłużony spoczynek, nieraz zdala od swego rodzinnego kraju. Padli na posterunku, jak prawdziwi żołnierze, pamięć ich przecież żyć będzie długo.

Jednym z takich bohaterów, którego na polu chwały spotkała śmierć nieubłagana, jest Krakowianin, inżynier chemii, Fel. Zabża, porucznik artyleryi przy bateryi ciężkich moździerzy. Padł w maju na południowym froncie, pozostawiając żal szczery, ale też i uznanie dla swego męstwa, którego niejednokrotnie dał dowody, za co też odznaczony był najwyższem pochwalnem uznaniem (Signum laudis).

Przed wojną brał ś. p. porucznik Zabża żywy udział w zawodach sportowych w Krakowie i we Lwowie.

Niedawno zginął również na polu chwały sierżant 56 p. p. z oddziału pionierów, Marcin Pochopień z Kurowa w powiecie żywieckim. O życiu jego i śmierci towarzysz broni ś. p. Pochopnia pisze nam:

„W pierwszych szeregach wyruszył w pole i pozostał w nich bez przerwy do ostatniej chwili życia. Cichy, skromny, uprzejmy dla każdego, a przytem pracowity i odważny, to też zyskał sympatyę i popularność całego pułku. Przez swe zdolności, wrodzoną inteligencyę, sumienność w pełnieniu poleconych mu zadań, zjednał sobie zaufanie przełożonych



**Śmierć na polu chwały:** S. p. porucznik Fel Zabża.

i otrzymał wszystkie odznaczenia, jakie żołnierzowi są dostępne.

Przeczuwał — zdaje się — swe ostatnie chwile. Niespokojny, smutny, ale bez słowa skargi, czy żalu, ze świtem w dniu śmierci wyszedł z kilkudziesięcioma ludźmi, aby kontynuować rozpoczętą pracę nad umocnieniem pozycyi. Wydawał rozkazy, gdy wtem z hukiem eksplodującego szrapnela rozległ się — jak straszny jęk skargi i rozpaczy — krzyk: „Jezus! Marya!“ Kula ugodziła go w czoło.

Ks. kapelan Miodoński, nadporucznik oddziału pionierów p. M. Kukla i garść kolegów jego i przyjaciół oddała mu ostatnią posługę. Spoczął na wieki w zimnym grobie jeden z najlepszych druhów naszych“.

Cześć Ich pamięci!



**Z włoskiego frontu:** Nabijanie moździerza austryackiego na pozycyi



Wnętrze zburzonego pociskiem mieszkania w Roveretto



**Z włoskiego frontu:** Odpoczynek oficerów austryackich w pałacu Puccinich w Roveretto.

VALENTIN MANDELSTRAMM.

# FATALNY DYAMENT.

Tłumaczyła z francuskiego: MARYA SEGENY.

8

Czekał niedługo. Pani Lutin, uprzedzona przez starego służącego, oceniającego, że „w poczekalni czeka dżentelmen prawdziwy“, pospieszyła na powitanie gościa. Już w progu pokoju przywołała na okrągłą, czerwoną twarz stereotypowy uśmiech nadzwyczajnej uprzejmości.

— Dzień doby pani — rzekł Bernac, powstając na jej wejście i składając jej ukłon głęboki. — Jestem przyjacielem pana Włodzimierza Guzowa i pragnę bardzo pomówić z nim.

Pani Lutin westchnęła ciężko i uniosła w sufit zasmucone oczy.

— Ach! Mój dobry panie! — zawołała z boleścią, wyciągając ręce do Bernaca — Nie domyśla się pan nawet, że słowa pana sprawiają wielki smutek w mojem sercu!

— Ach! Moja pani... gdybym był przypuścił... Doprawdy bardzo mi nieprzyjemnie...

Pani Lutin poprosiła go ruchem ręki, aby zajął miejsce.

— Otóż mój panie, upływa właśnie trzy tygodnie, jak pan Guzow, przyjaciel pański i ośmielam się powiedzieć, mój także i wszystkich gości mojego pensyonatu — znikł nagle, bez najmniejszego słowa pożegnania.

— Rzeczywiście, to przykra rzecz!

— A co najprzykrzejsze — ciągnęła dalej pani Lutin, że właśnie, jak się dowiaduję, otrzymał znaczny spadek w Rosyi i nikt nie wie, gdzie go szukać.

— Ach! tak! odparł niedbale Bernac. — Guzow miał wuja bardzo bogatego i bezdzietnego, o ile mi się zdaje.

— Widzę, że pan wie również o tym fakcie. Ale może sobie pan wyobrazić, jak rzecz podobna wstrząsnęła istotę tak jak ja wrażliwą i czułą. — Szczególniej przykra była dla mnie chwila, kiedy ci panowie z konsulatu przyszli po informacye.

— Tak? Więc już byli!

— A byli, mój panie! — odpowiedziała z pewną dumą pani Lutin, prostując swoją wyniosłą i korpulentną postać.

— Czy i inne osoby przychodziły również zasięgać wiadomości o moim przyjacielu? Zapewne ktoś się musiał pytać o niego?

Pani Lutin zastanowiła się chwilę.

— Tak... był jeden pan... pan o arystokratycznym wyglądzie... tak jak pan... tylko starszy.

— Czy nie przypomina sobie pani dokładniej, jak ten pan wyglądał? — zapytał Bernac zaintrygowany.

— Wysoki był i miał duże siwe włosy.

— A może zapamiętała pani sobie jego nazwisko? Byłoby to wielką wskazówką dla nas, bo przypuszczam, że i pani chciałaby wiedzieć, co się stało z Włodzimierzem Guzowem?

— Ależ naturalnie, mój panie! Ale nazwiska tego pana nie przypominam sobie... Wiem tylko, że miał na sobie duże, ciemne futro i monokl w oku. Był tu zresztą dwa czy też trzy razy i rozmawiał z pana przyjacielem.

Bernac milczał chwilę.

— Odkądto pan Guzow zamieszkał u pani? Czy dawno już?

— Mieszkał tutaj od trzech miesięcy.

— A nie wydalał się na dłużej przez ten czas? Bo ja niedawno dopiero powróciłem do Paryża i nic o nim nie wiem.

— Nie wyjeżdżał nigdzie. Pan Guzow prowadził wogóle życie bardzo regularne i spokojne. Rano wychodził wcześnie do swoich zajęć, powracał dopiero wieczorem na obiad i już nigdzie nie wychodził. — Najczęściej szedł odrazu po obiedzie do swojego pokoju i udawał się na spoczynek.

— Ach! Tak, tak! Widzę z przyjemnością, że pozostał ten sam, co był w Petersburgu. Cichy, spokojny i pracowity. Wzór młodych ludzi — nieprawdaż?

— Och! Tak, mój kochany panie! Dlatego też dotąd żałuję go tak serdecznie. Poszedł rano, jak zwykle, jednego dnia i więcej nie powrócił! To przecież okropne. Nie mogę się dotąd uspokoić!

— A czy nie przypuszcza pani, że powodem tego oddalenia niewytłumaczonego mogła być kobieta?

Pani Lutin na tym punkcie miała surowe zasady. Podniosła wysoko głowę i wyrzekła z godnością:

— Mój kochany panie, do pensyonatu mojego przyjmuję tylko osoby o dobrych obyczajach i polecone mi przez dawnych moich znajomych. I nic w zachowaniu się pana Włodzimierza Guzowa nie pozwoliło mi przypuszczać czegoś podobnego, bo gdybym cośkolwiek tego rodzaju spostrzegła...

— Niema o czem mówić, kochana pani, wiem, że pensyonat pani cieszy się jak najlepszą opinią. Czynię różne przypuszczenia, oto wszystko. A może wie pani, jakim zajęciom oddawał się obecnie pan Guzow, bo jak powtarzam, straciłem go z oczu czas jakiś...

Zacna dama oburzyła się na te słowa.

— Gdyby mnie pan znał lepiej — wyrzekła surowo — toby mi pan nie zadał tego pytania.

— Dlaczego, kochana pani?

— Dlatego, że nie jest w zwyczaju moim interesować się gośćmi moimi poza pensyonatem. Zresztą nie jestem ciekawa z natury.

— Niechże więc pani zechce mi wybaczyć tę niedyskrecyę i weźmie ją na karb rozdrażnienia nieobecnością przyjaciela — tłumaczył się Bernac — Doprawdy nie przypuszczałem, że do tego stopnia urażę panią.

— To nie, mój panie. Widocznie nie mieszkał pan nigdy w moim pensyonacie — odpowiedziała już łagodniej pani Lutin.

Pani Lutin zresztą mówiła prawdę, bo wszyscy pensyonaryusze w „Europie“ wychwalali zawsze nadzwyczajny jej takt i dyskrecyę.

— Jestem ogromnie przygnębiony otrzymaną przez panią wiadomością — odezwał się jeszcze Bernac — Doznałem przykrego bardzo rozczarowania. Właśnie otrzymałem urlop trzechdniowy i chciałem go spędzić z Guzowem, tu, w Paryżu, bo muszę zaraz potem powracać do Belgii, gdzie jestem stale przydzielony — a jego niema! Tak dawno go już nie widziałem! Czy pani nie byłaby łaskawą wskazać mi, gdzie bym mógł na ten krótki czas zatrzymać się? A może pani ma wolny pokój? Przyjechałem tu prosto z podróży z walizką, którą zatrzymałem w automobilu.

Twarz pani Lutin rozjaśniła się żywem zadowoleniem. Jednakże zawahała się chwilę.

— Z największą przyjemnością przyjęłabym pana — odrzekła — ale widzi pan, nie mam obecnie żadnego wolnego pokoju. Jak pan wie, pensyonat mój jest bardzo poszukiwany i zjeżdża tu do mnie więcej osób, niż pomieścić mogę.

— Więc niema ani jednego wolnego pokoju?

— To znaczy, że jest, są nawet dwa, ale nie wiem, czy ich użyć mogę dla pana.

— Dlaczego?

— Jeden pokój to właśnie ten, zajmowany przez pana Włodzimierza Guzowa. Zapłacił z góry za cały miesiąc i mam obowiązek zatrzymania go dla niego, nieprawdaż?

— Oczywiście, kochana pani.

— A drugi, sąsiadujący z tamtym. Ale również zatrzymany jest oficyalnie przez czcigodnego ojca Nataniela Bodminster, który ma wkrótce powrócić.

— Ach! to pastor angielski?

— Tak! Najzacniejszy człowiek i gość, na którym zależy mi bardzo, pojmuje pan? Wszyscy tu w pensyonacie szanujemy go nadzwyczajnie i cieszymy się jego obecnością. Czcigodny ojciec Nataniel Bodminster zajmuje się tutaj badaniami archeologicznemi i od czasu do czasu zjeżdża tutaj dla swoich studyów.

— A teraz powrócił do Angli?

— Tak jest. Rozumie pan, że na długo nie może opuszczać obowiązków swoich, które go tam zatrzymują. Ale zachowuje zawsze pokój w moim pensyonacie i zapowiada surowo odjeżdżając, żeby mu tam nic nie ruszano. To jest już jego słabość. Ceni nadzwyczajnie porządek i niechętnie patrzy, jak kto mu przerzuca jego papiery i książki. Przecież to całkiem zrozumiałe, nieprawdaż?

— Ależ naturalnie, kochana pani.

— Więc doprawdy nie wiem, co z panem zrobić?

— To trudno, skoro niema pokoju. Zajadę do hotelu, choć przyznaję szczerze, że wolałbym zamieszkać w pensyonacie pani. Może doczekałbym się powrotu przyjaciela.

— Wie pan co? — rzekła po chwili namysłu pani Lutin, która pragnęła tak „prawdziwego“ dżentelmena zatrzymać u siebie i pochwalić się nim przed swoimi gośćmi. — Sądzę, że nie wystąpię przeciw obowiązkom swoim, jeżeli panu oddam pokój pana Guzowa, nieprawdaż?

— Ależ kochana pani! Doprawdy pani jest bardzo łaskawa.

— Bo gdyby nawet pan Guzow powrócił, to nie okaże się zbyt surowym dla mnie, skoro w pokoju swoim zastanie przyjaciela.

— Ależ naturalnie! Pogodzimy się jakoś, gdyby powrócił, niech pani o to będzie zupełnie spokojna — zawołał uradowany Bernac — I tylko jednego pragnę, żeby się tak stało naprawdę! Wobec tego, jeżeli pani pozwoli, zainstaluję się tam zaraz.

— Proszę pana, kiedy tylko pan zechce.

— Doskonale.

Bernac wyjął z portfelu banknot stufrankowy i wręczył go pani Lutin.

— A teraz zechce pani kazać znieść moją walizę i zapłacić dorożkę.

Bernac bowiem, jadąc na ulicę Tournon, zmienił zdanie i zamiast kazać się wieźć prosto do pensyonatu, wstąpił do siebie i wziął zawsze przygotowaną na wszelki wypadek walizę.

Następnie powiedział swojemu szoferowi, że już mu na dzisiaj nie będzie potrzebny i kazał zawołać zwykłą dorożkę automobilową, do której wsiadł i pojechał. Był przekonany, że taka dorożka mniej zwróci uwagę na ulicy Tournon, niż prywatny jego, dobrze znany automobil.

W dwie godziny później, Bernac siedział przy wspólnym stole pensyonatu „Europa“ i z całą swobodą zasymilował się z nowem i nieznanem sobie środowiskiem. Pani Lutin zwracała się do niego z najwyższą uprzejmością i zainteresowaniem i wkrótce Bernac był w najlepszych stosunkach towarzyskich z wszystkimi gośćmi pensyonatu.

Stary Adolf z wyróżnieniem pewnem obsługiwał go, patrząc na niego z szacunkiem i podziwem.

W ten sposób, naprowadzając gości pani Lutin na swobodną rozmowę, Bernac dowiedział się po pół godziny, że czcigodny ojciec Nataniel Bodminster opuścił pensyonat „Europa“ w ten sam dzień, w którym wydalił się włodzimierz Guzow. Ojciec Nataniel odjechał bardzo wczesnym rankiem. Posiadając z natury usposobienie wrażliwe i uczuciowe, nie chciał się zgodzić, aby pani Lutin żegnała go przy odjeździe.

Tylko jeden Adolf mógł go pożegnać, bo on jeden tylko o tej godzinie był już na nogach. Adolf więc na jego życzenie poszedł po dorożkę i pomógł mu znieść bagaże. Właściwie ojciec Nataniel sam, obdarzony niezwykłą siłą, nie chcąc trudzić starego służącego, zniósł ze schodów duży swój koszyk i umieścił go w powozie. Badany dyskretnie Adolf sam podnosił ten fakt, jako niezwykły objaw dobrego serca czcigodnego ojca. W koszyku tym miały być książki naukowe. Kiedy powóz już ruszał, ojciec Nataniel zawołał: „Na dworzec północny“!

Co zaś do Guzowa, ten jeszcze wcześniej musiał wyjść z pensyonatu, ponieważ nikt z otoczenia, ani Adolf nawet nie widział go.

— Czy nie zapamiętałeś numeru dorozki, mój przyjacielu? — odważył się zapytać służącego Bernac.

— Nie, łaskawy panie. — odparł Adolf, który w dobroduszności swojej nie zwrócił uwagi na dziwne to zapytanie. To była jakaś dorożka przejezdna. Nie zauważyłem nawet jej wygląda.

— Trudno ją będzie odnaleźć — pomyślał z niezadowoleniem Bernac — Ale ten czcigodny ojciec Nataniel, to napewno podejrzana jakaś osobistość. Tego muszę wydobyć, choćby z pod ziemi. Pojechał do Anglii, oddam go więc pod opiekę Clemsona, to będzie najlepiej.

Jeszcze tego samego dnia, Bernac, zabawiwszy tylko krótką chwilę w pokoju Włodzimierza Guzowa, wyszedł z pensyonatu i wsiadł do omnibusu, odchodzącego w stronę placu Giełdy. Tam wysiadł i wszedł do biura pocztowego. Najsamprzód zatelefonował do swojego mieszkania, aby się dowiedzieć, czy nie nadeszły listy jakie lub telegramy, następnie do Michaliny, żeby ją uspokoić i powiedzieć, „że wszystko idzie dobrze“. Kiedy głos młodej dziewczyny zabrzmiał w aparacie, Bernac zdziwił się sam wrażeniu, jakie odebrał. Zły był nawet na siebie, że w takiej chwili tak silnie interesuje się nią.

— Myślałam, że przecież pan wstąpi jeszcze do mnie! — mówiła Michalina z wyrzutem — Cały wiczór czekałam na próżno. Niedobry pan jest, tak mnie dręczyć.

— Czy czekała pani na mnie, czy na wiadomości, jakie przynieść mogłem? — zahazardował Bernac, którego oddalenie uczyniło śmielszym.

Przez chwilę nie było odpowiedzi.

— Panno Michalino — nalegał Bernac — czy nie dosłyszała pani słów moich? Czy mam je powtórzyć raz jeszcze?

— To zupełnie zbyteczne. — brzmiała odpowiedź — Czekałam na pana i wiadomości, to chyba zupełnie naturalne, bo jedno nieodłączne od drugiego, nieprawdaż?

— Dyplomatyczna odpowiedź — pomyślał Bernac — ta mała Michalina silna jest w każdym kierunku.

— Sądzę, że miss Hopkins tęskniła na równi ze mną za pana przybyciem — brzmiał dalej głos młodej dziewczyny.

— Z czego to pani wnosi?

— Z jej ogromnej ciekawości! Pytała mi się kilkakrotnie, w jakim celu udał się pan na ulicę de Tournon.

— Naprawdę! Oh, to coś niezwykłego! I co pani jej odpowiedziała?

— Ze nie wiem.

— Bardzo dobrze! Proszę jak najmniej mówić o naszej wspólnej sprawie. Nie chcę, żeby gadatliwość czy ciekawość ludzi popsuła mi w czemkolwiek moje plany. Pani gorączkowe zapytania dzisiaj popołudniu nie bardzo mi się podobały.

— Mnie jeszcze więcej. Ale to pan temu winien. Zeby też nie znaleźć chwili, by mnie uspokoić.

— Nie mogłem. Będę u pani jutro, panno Michalino. Proszę być cierpliwą. Do jutra może dowiem się czegoś ciekawego.

— Więc ten pan Guzow egzystuje?

— Egzystuje, tylko proszę raz jeszcze o ostrożność. Nazwisk nie wymienia się przy telefonie.

— Gniewa się pan na mnie?

— Nie! nie! Dobranoc, panno Michalino, proszę spać spokojnie i nie mieć smutnych myśli.

— Dobranoc!

Bernac odszedł od telefonu i zredagował natychmiast telegram do Clemsona następującej treści:

„Zebrać bezwłocznie w Seeds szczegóły o osobie niejakiego Nataniela Bodminster, podającego się za pastora angielskiego i zamieszkującego to miasto. Opis jego osoby wysyłam w liście."

Załatwiwszy tę sprawę, Bernac powrócił do pensyonatu „Europa".

Dom cały był już pogrążony we śnie. Tylko służący Adolf oczekiwał go i przeprowadził go do pokoju Włodzimierza Guzowa.

Bernac pożegnał go i drzwi zamknął na klucz. Pod pozorem, że przywozi ze sobą bardzo mało rzeczy, Bernac wymógł na pani Lutin, która chciała kazać wynieść kuferki należące do młodego uczonego, aby nic nie ruszano z miejsca.

Zacna dama zgodziła się na to chętnie, nie widząc w tem życzeniu nic nadzwyczajnego. Zresztą Bernac, który zameldował się pod nazwiskiem pana Bourdies, przemysłowca z Belgii, budził w niej jaknajwiększą ufność.

Bernac zaraz po wejściu do pokoju zabrał się do roboty. Wszystkie kąty i schowki zostały starannie przeszukane. Nigdzie nie było śladu papierów, listu jakiego, czy telegramu. Guzow, stosownie do ostrzeżenia bankiera Versigny, niszczył całą swoją korespondencyę zaraz po otrzymaniu jej. Przytem Bernac nie domyślał się, że przed nim jeszcze był tu ktoś w tych samych celach, a posiadał dosyć ciekawości i przebiegłości, aby nic nie uszło jego uwagi. Przegląd ubrań i rzeczy nie dał mu również żadnego wyjaśnienia, tylko znaleziony w szufladzie komody duży pakiecik, zawierający dwie bluzy z szarego płótna, zaintrygował silnie Bernaca. Na papierze, którym te bluzy zawinięte były, odnalazł napis drukowany: „Claveaux — Saint Oven — ulica Wielka — skład bielizny męzkiej".

— To coś już jest! — szepnął z zadowoleniem Bernac, chowając napis do portfelu — Ten ślad może mnie naprowadzić na inne. Jutro muszę być w Saint-Oven.

Zawiną z powrotem bluzy i włożył do komody. Następnie obejrzał dokładnie zamek drzwi, prowadzących do sąsiedniego pokoju, zajętego przez ojca Nataniela Bodminster i wsunął do niego dwie wązkie sztabki metalicze wyjęte z kieszeni marynarki.

Sztabki wchodząc w otwór nie zgrzytnęły nawet. Bernac uśmiechnął się tryumfująco:

— Domyślałem się tego — mruknął — Ktoś tu pracował przedemną i pracował dobrze z wielką ostrożnością i znajomością przedmiotu. Czcigodny ojciec Nataniel, jeżeli się nie mylę, zdolnym jest człowiekiem, ale pomimo jego zdolności pokonać go możemy przy wytężonej energii. Zamek jest doskonale naoliwiony i zabezpieczony.

Otworzył drzwi i wsunął się cicho do pokoju ojca Nataniela z zamiarem obejrzenia go z równą starannością, jak pokój Włodzimierza Guzowa. Szafy i komoda nie były na klucz zamknięte, Bernac mógł więc tu grasować do woli. Zawierały one dużą ilość starych ksiąg i manuskryptów przeróżnych w języku angielskim, greckim i łacińskim. Były to dzieła naukowe, poezye, poematy, wszystko porozrzucane bez ładu i systematyczności. Wyglądały tak, jakgdyby były zakupione bez najmniejszego przygotowania w pierwszej lepszej antykwarni.

— Czy to możliwe — pomyślał Bernac — aby drugą taką ilość zabrał z koszem swoim? I dlaczegóż to czcigodny ojciec Nataniel Bodminster zapowiadał tak uroczyście, aby mu tu nic nie ruszano w czasie jego nieobecności? To coś bardzo podejrzanego? W tem tkwić musi poważna jakaś przyczyna. Szukajmy dalej!

Obszedł kilkakrotnie pokój i zatrzymał się przy ścianie oddzielającej obydwa pokoje i zaczął machinalnie palcami badać grubość muru. W tej samej chwili przypomniał sobie śmierć barona Gerarda de Lambriere i dziwne okoliczności towarzyszące jej. Czyżby z tą śmiercią czcigodny ojciec Nataniel miał łączność jaką?

— Tam był otwór wywiercony w ścianie — pomyślał — i użytek chloformu. Szukajmy tych śladów, chociaż dotąd nic nie wiem jeszcze, czy Włodzimierz Guzow jest ofiarą, czy też wspólnikiem jakiejś dyabelnej machinacyi.

Przeszedł do drugiego pokoju, odsunął łóżko, które stało blizko ściany i wymierzył ją drobiazgowo znalezionym kawałkiem sznurka. Poczem znowu powrócił do pokoju ojca Nataniela i tam również ścianę sąsiadującą odmierzył, przesuwając palcami po ciemnej tapecie. Przy pomocy scyzoryka starał się wybadać podkład i jakość tej ściany. Nagle ostrze scyzoryka zadrgało w jego ręce i zagłębiło się trochę.

— Ho! ho! — pomyślał Bernac — Nie omyliłem się! Ten sam system, co w pokoju barona de Lambriere. Człowiek, którego to jest dziełem, trzyma się jednej i obranej zasady w działaniu! W tapecie jest otwór niewielki, świeżo zalepiony mastyksem.

Wyskrobał ostrożnie otwór i wkrótce mógł skonstatować, że w pokoju Włodzimierza Guzowa otwór ten znajdował się na wysokości łóżka, przy głowie.

— Teraz już wiem, co o tem myśleć — mruknął Bernac. Otwór w ścianie i użycie chloroformu, tak samo identyczne, jak przy tamtej zbrodni. Tylko tutaj zdaje się nastąpiło porwanie, a nie zbrodnia! Ojciec Nataniel ma nieźle obmyślane pomysły! Teraz nie dziwię się już, że nie chciał, aby ktokolwiek wchodził do jego pokoju. No, dzięki Bogu! Mam już dobry atut w ręce. Przeczucie Michaliny sprawdzić się może. Niema teraz wątpliwości, że przez tego Guzowa dotrzemy do pana Versigny'ego, skoro już wybadałem, że zamordowanie Lambriera i zniknięcie tego chłopca jest dziełem jednej ręki. Zamieszkanie w pensyonacie pani Lutin opłaciło mi się należycie. W najlepszem usposobieniu myśli Bernac zagasił światło i usnął prawie natymiast, zmęczony tylu wzruszeniami.

**Laboratoryum w St. Oven.**

Pomimo usilnych starań ajentów, których na instrukcye dane przez Bernaca pan Cambaux w ruch puścił, w celu wyśledzenia Nataniela Bodminster, podającego się za księdza — nic dotąd w tym kierunku nie wykryto.

Również dokładny przegląd ksiąg z jego pokoju nie dał żadnego dobrego rezultatu.

Bernac żył teraz w ciągłem podnieceniu i gorączce. Musiał się teraz przekonać, czy Nataniel Bodminster miał wspólników, czy też działał sam na własną rękę. Ale jakim sposobem mógł dojść do tego?

W pensyonacie nie zebrał już żadnych informacyi. Czcigodny ojciec Nataniel według słów sympatyzującej z nim widocznie pani Lutin, którą potrafił zachowaniem się swojem wyprowadzić w pole, nie przyjmował nikogo. Bernac lękał się zresztą bardziej nalegającem badaniem obudzić do siebie nieufność zacnej damy.

Postanowił więc opuścić jej pensyonat jak najspieszniej. I tak był już w posiadaniu bardzo ważnego dla siebie odkrycia.

Tłumacząc się koniecznym i nagłym wyjazdem, pożegnał właścicielkę „Europy", nie mogącej odżałować tak krótkiego jego pobytu u siebie.

Bernac zresztą czuł się zupełnie zadowolonym z dnia spędzonego w pensonacie. Rezultat bowiem jego poszukiwań okazał się nadzwyczajnym. Miał teraz w ręku poszlaki pewne, mogące mu być bardzo pomocne w rozwiązaniu sprawy, a dotąd błądził w ciemnościach, nie wiedząc, w którą stronę się zwrócić.

Przedewszystkiem uprowadzenie Włodzimierza Guzowa przez tajemniczego Nataniela Bodminster było dla niego faktem jasnym i pewnym, a potem to odkrycie wywierconego otworu w celu zachloroformowania ofiary — przedstawiało wyraźną analogię z procederem użytym przy ulicy Courcelles.

Następstwem tych odkryć było przypuszczenie Barnaca, że wszystkie trzy tajemnicze zdarzenia, zniknięcie bankiera Versigny'ego, młodego Rosyanina i mniemane samobójstwo barona de Lambriere są w łączności ze sobą. Do tego jeszcze dołączyć się mogło przypuszczenie drugie — Nataniel Bodminster uprowadził ze sobą Włodzimierza Guzowa, bo chciał przywłaszczyć sobie jego spadek, o którym mógł być dobrze poinformowanym. Jednakże najwięcej zadowolenia wywołało w Bernacu znalezienie bluz z szarego płótna. Dowiedzieć się będzie mógł przez to, co Włodzimierza Guzowa sprowadziło do Saint-Oven i nad czem tam pracował, skoro potrzebował bluz robotniczych?

W ciągu dnia Bernac więc udał się do Saint Oven i poszedł do magazynu pana Claveaux na Wielką Ulicę, gdzie pod pozorem poczynienia zakupów, miał nadzieję dowiedzenia się czegoś o młodym Rosyaninie. Kombinacya ta go nie zawiodła. Właściciel magazynu udzielił mu najchętniej pożądanych informacyi.

Dowiedział się więc Bernac, że ów pan, który zakupił bluzy robotnicze, jest praktykantem laboratoryum, czy też niewielkiej fabryki chemicznej, znajdującej się na końcu tej samej ulicy.

Nie pozostawało zatem nic innego, jak bezzwłocznie udać się tam. Tak też uczynił Bernac. Ciągle pod zmienionem nazwiskiem przedstawił się w pracowni. Nie spotkał tam nikogo, oprócz starszego robotnika, o wyglądzie poważnym i statecznym i to po kilkuminutowem dopiero poszukiwaniu. Nie okazał jednak zdziwienia na widok pustej pracowni i oznajmił, że pragnie się widzieć z panem Włodzimierzem Guzowem, swoim przyjacielem.

Stary robotnik rozpłynął się natychmiast w narzekaniach i żalach. Nikt nie widział młodego inżyniera od trzech tygodni. Nawet na chwilę nie pojawił się w laboratoryum. Cała robota była zatrzymana, maszyny nie funkcyonowały, piece były wygaszone.

— Robotnicy wszyscy rozeszli się — tłumaczył się stary — ja tylko jeden pozostałem na miejscu, bo to widzi pan, człowiek nie od dzisiaj pracuje i zna swoje obowiązki. Miałem co dzień nadzieję, że pan inżynier się pojawi, ale teraz straciłem ją już zupełnie.

— Nie przypuszczacie, gdzie może być pan inżynier — zapytał Bernac, widząc, że stary robotnik chętny jest do rozmowy.

— A skądżeby mój panie? Myślałem właśnie, że dowiem się coś o nim od pana, skoro to pana przyjaciel.

— Nie widziałem się z nim od dłuższego już czasu — odparł Bernac — I nawet nie wiem, nad czem tu pracował.

— Ach! Co do tego, to mogę pana objaśnić — odpowiedział chętnie stary robotnik — Pan inżynier zajmował się tutaj jakiemiś badaniami nad radyum.

— Pewny tego jesteś, mój przyjacielu?

— Jak najpewniejszy. My robotnicy wszyscy mieliśmy oddaną tylko stronę techniczną. Puszczaliśmy w ruch maszyny, ogrzewali piece, pilnowali motorów. Pan inżynier zaś sam pracował w laboratoryum i nie pozwalał tam nikomu wchodzić.

— I dlaczegóż to?

— Ano pewnie, żeby mu w robocie nie przeszkadzać. Zamykał się tam zawsze, jak tylko przyszedł i odchodząc zabierał klucze od pracowni ze sobą.

— I nigdy nie byliście tam?

— Raz tylko, jak wybuchnął ogień, spowodowany krótkim spięciem na sali, gdzie są dynama. Płomień ogarnął także dach laboratoryum. Pana inżyniera nie było. Musieliśmy wyważyć drzwi, aby ugasić pożar. Prędko uporaliśmy się z nim, bo to było za dnia i bez pomocy, która, jak panu wiadomo, zawsze zapóźno przybywa.

— A czy mógłbyś mnie, mój przyjacielu, zaprowadzić do tej pracowni? — zapytał Bernac — Może tam znajdziemy coś, co może nam objaśnić tak długą nieobecność pana inżyniera.

— Dlaczego nie. Niech pan idzie za mną.

Z silnem wzruszeniem przestępował Bernac próg laboratoryum Włodzimierza Guzowa. Co tu odkryje i czego się dowie?

Z przeprowadzonych niegdyś nauk w szkole Centralnej pozostało mu dosyć poważnych wiadomości. Do tego jeszcze, zanim skierował się na karyerę literacką, był jakiś czas sam inżynierem w fabryce automobilów w Stanach Zjednoczonych. Od tego czasu zaś interesował się silnie wszelkimi wynalazkami i postępami w dziedzinie nauk przyrodniczych.

— Mogę tylko panu powiedzieć — mówił dalej rozmowny robotnik, wprowadzając Bernaca do laboratoryum — że pan inżynier, choć Rosyanin, był dzielnym człowiekiem, a dobry jak dziecko. Z robotnikami obchodził się, jak z równymi sobie.

(Ciąg dalszy nastąpi).



**Śmierć na polu chwały:** Ś. p. Marcin Pochopień z Kurowa, sierżant 56 p. p.



**Przyszli artyści-śpiewacy.** Profesor Stanisław Bursa w otoczeniu swych uczniów i uczenic.

## Przyszli artyści-śpiewacy.

Ciesząca się dużem uznaniem w muzycznych sferach Krakowa Szkoła śpiewu zaszczytnie w Polsce znanego śpiewaka i pedagoga-wokalisty, profesora St. Bursy, odbyła w ubiegłą niedzielę rewię, przedstawiając wypełniającym salę Kino-Wandy miłośnikom śpiewu długi szereg utalentowanych uczenic i uczni. Produkcye obfitego, a umiejętnie zestawionego programu cechowało nader staranne przygotowanie w kierunku wokalnym, deklamacyjnym i odtwórczym. Z licznej gromadki uczniów (28 osób) na plan pierwszy wybiły się jako zdecydowane talenty sceniczne: panny Wędrychówna, Jasińska, Oleksówna, Hellerówna i Daniszewski, a nadto córka zasłużonego maestra, p. Miłosława Bursówna. Nie mniej nader korzystnie, jako materyały śpiewackie, przedstawiły się: panny Golińska, Danuta Bursówna, Nowakówna, Łuczkówna, Zellówna oraz pp. Łuczko i Tomaszewski.



**Szósty pułk Legionów w polu:** Podpułkownik Norwid, komendant przy siedzibie komendy pułkowej.

## Nasi w Albanii.

Ów nieszczęśliwy kraik, którym przez lat tyle zajmowała się cała Europa, a zwłaszcza jej dyplomacya, dziś częściowo znajduje się w zarządzie armii austryacko węgierskiej, która zwycięsko posuwając się naprzód, parła przed sobą uchodzące wojska serbskie, nie mogące nigdzie znaleźć punktu oparcia pomimo zachęt i obietnic pomocy ze strony koalicyi. Część Albanii jest więc w naszem ręku i ta część właśnie wychodzi na tem najlepiej, bo zaczyna już odczuwać błogie skutki europejskiej kultury, dotąd tutaj nieznanej.

Zarząd wojskowy zwrócił przedewszystkiem główną uwagę na budowę dróg, na razie strategicznych w przyszłości zaś mających stać się prawdziwem dobrodziejstwem dla mieszkańców tego kraju, dotąd prawie zupełnie pozbawionego środków komunikacyjnych w europejskiem tego słowa znaczeniu.

Tysiące robotników z różnych stron monarchii pracuje też w pocie czoła pod kierunkiem oficerów inżynieryi i inżynierów cywilnych nad stworzeniem bodaj jakich takich dróg, któreby umożliwiły dostęp w głąb kraju, a wnętrze jego połączyły z wybrzeżem morskiem. Praca to nie łatwa, teren górzysty nastręcza na każdym kroku wiele trudności.

# Kronika tygodniowa.

Wakacye zaczęły się już w całej pełni, kogo tylko stać było na to, już łyka za miastem świeże powietrze, ja czynię to samo, ale na razie tylko na plantacyach, bo to jeszcze nic nie kosztuje, choć zapowiadają, że w najbliższym czasie zaprowadzone zostaną tak zwane *„luftkarty“.*

Dlaczego zaś dotąd nie wyjechałem, domyśli się zapewne łatwo każdy, kto był kiedykolwiek w tem, co ja położeniu. Wystarczy powiedzieć, że nie dopisały pertraktacye o zaciągnięcie długoterminowej lub krótkoterminowej pożyczki. Powiodło mi się tak, jak rosyjskiemu ministrowi skarbu, panu Barkowi, który objechał całą koalicyę, wszędzie mu obiecywano, a wynik był bardzo smutny. Taka sama zaś koalicya istnieje i na naszej „czarnej giełdzie“. Cenzura wekslowa, która codziennie w południe zbiera się pod kościółkiem św. Wojciecha, w razie zaś niepogody w sieni kamienicy przechodniej, skąd najłatwiej robić „wypady“, jest bardzo stanowcza, raz wypowiedziane „nie“ nigdy nie bywa cofniętem, chyba, gdyby klient „wzmocnił“ weksel jakimś bardzo fein podpisem, równającym się podkładowi złota dla wydawanych papierów bankowych. Złota owego czasem przecież niema, wzmacniający podpis także niekiedy działa raczej osłabiająco, ale skoro musi być, trudna rada. Ja swoje, bankierzy swoje. Na tym właśnie wzmacniającym podpisie rozbiły się rokowania, żaden bowiem nie miał odpowiedniej siły, choć jeden pochodził z ręki jegomościa, dla którego podnieść dwieście kilo to fraszka, drugi zaś należał do pana, łamiącego z łatwością podkowy.

Nie, to nie! — powiedziałem sobie i siedzę w Krakowie, od czasu do czasu nerkając na zbliżającą się kanikułę, która już teraz daje się we znaki i na sezon ogórkowy, obecnie bardzo drogi. Lubię mizeryę, lubię i kiszone ogórki, ale teraz, aby sobie módz pozwolić na podobny zbytek, trzeba być co najmniej milionerem, choćby zresztą kamienicznikiem, lub wygrać na loteryi. A tu właśnie pierwsza klasa loteryi zawiodła moje oczekiwania. Kupiłem ósemkę losu, pewny, że Fortuna mi dopisze, niestety, stało się zupełnie inaczej.

Niechaj jednak nikt nie myśli, że łykanie powietrza świeżego na Błoniach lub plantacyach miejskich pozbawionem jest niebezpieczeństw, na jakie narażony jest na przykład ktoś, czyniący to samo dajmy na to w Zakopanem i drapiący się w tym celu po różnych Gewontach, Nosalach, Gubałówkach i tym podobnych. Tam można co najwyżej zlecieć w przepaść i tam kark skręcić, tutaj czeka na ciebie coś w tym rodzaju, ale na równej drodze. Dawniej, gdy było w modzie tak zwane „diabolo“, którem bawiły się nasze pociechy, byłeś ciągle w strachu, że taki sympatyczny przyrząd spadnie ci lada chwila na łeb, zadzierałeś też głowę do góry, upatrując zbliżającego się nieprzyjaciela i nieraz rozbiłeś z tego powodu cyferblat o latarnię, która nie chciała ci się z drogi usunąć, lub, co najmniej, ściągnąłeś na się podejrzenie, że jesteś dumnym człowiekiem, nie wiedzącym nawet, dlaczego nos do góry zadziera. A ty tyle byłeś winien, co ów chłopiec, któremu zrobiono kamizelkę z ineksprimabli papy i to do tego z części oficynowej.

Dzisiaj, dzięki Bogu, owe „diabolo“ poszło już w zapomnienie, z przestworzy powietrznych nic ci więc nie grozi, chyba nietakt kawki lub wrony, nic sobie nie robiących z przepisów magistratu o zanieczyszczaniu miejsc publicznych, niebezpieczeństwo zaś ściga cię na udeptanej drodze pod postacią modnej obecnie obręczy i goniącego za nią z patykiem aniołka płci męskiej lub żeńskiej. Ani się spostrzegłeś, jak obręcz wpadła ci pod nogi, tracisz naturalnie równowagę i wysypujesz się jak długi, gniotąc obręcz, na ciebie przewraca się ów aniołek... Obok stojąca mama albo ciocia, zamiast cię przeprosić, jeszcze wsiądzie na ciebie, dlaczego przeszkadzasz dziecku w zabawie.

— Trzeba się było usunąć! — powiada z niechęcią, lustrując twą postać od stóp do głów, czy wypada odzywać się do „byle kogo“.

Ja jej tłumaczę, że winy absolutnie nie ponoszę, gdyż „w plecach“ oczu nie mam, nie mogę więc dostrzedz, co się dzieje poza mną, to ją przecież nie wzrusza, cznję, że miałaby ochotę, tak, jak owa mama z przed dwu tygodni, nazwać mnie gburem i grubijaninem.

Zabawa obręczą jest bardzo piękną, sam jej też ongiś hołdowałem, gdyż wyrabia siły i apetyt, odbywać się przecież powinna nie na miejscach, przeznaczonych do spaceru, ale na specyalnych zabawowych. Andrusy z gmin podmiejskich, którzy także przyjęli obręcz i uganiają za nią po chodnikach ulicznych, są o tyle grzeczniejsi, iż, doganiając cię z tyłu, wołają przynajmniej: „na bok“ i w ten sposób chronią cię od upadku, który w późniejszym wieku może mieć nawet przykre następstwa. Znam jednego pana, który z tego właśnie powodu upadł i złamał sobie po prawej stronie trzy... cygara włoskie, a wiadomo, jak teraz ciężko o materyał do palenia.

Ze względu więc na te „przyjemności“ daje sobie człowiek spokój z łykaniem świeżego powietrza tam, gdzie go właściwie szukać się powinno, urządza natomiast, zmuszony koniecznością, inhalacye zgęszczonego powietrza w tej lub owej knajpce, gdzie przynajmniej nie potrzebuje się obawiać owej obręczy. Dawniej o tym czasie gwarno było w tych lokalach i wesoło, gdyż słomiani wdowcy zaczynali tu używać owej długo upragnionej złotej wolności, dziś i słomianych wdowców brak, więcej natomiast słomianych wdów, szukających pocieszyciela... Ale o tem, mnie, człekowi stateczniemu i do tego żonatemu, nawet wspominać nie wypada.

Wobec tego przechodzę wprost do polityki, zwłaszcza, że odezwała się znowu pani de Thèbes, która powiada, co następuje:

„Przepowiadam, że obecna wojna zakończy się jeszcze w bieżącym roku. Twierdzę także z całą pewnością, że wbrew przeciwnym zapatrywaniom i opiniom wojna zakończy się w bardzo niedalekiej przyszłości, a to wtedy mianowicie, kiedy ludzie najmniej się tego będą spodziewali i w sposób, najmniej oczekiwany przez cały świat. Nie przyjdzie już wcale do nowej kampanii zimowej... jeszcze raz...: Małe, nieznaczne, prawie niezrozumiałe wydarzenie zakończy ją!... Ziarnko piasku zmusi działa i karabiny na obu frontach do milczenia“.

Aczkolwiek baba gadatliwa, nie chce pani de Thèbes powiedzieć, jak wygląda owo ziarnko piasku i skąd i kiedy spadnie, ale i za to daj jej Boże zdrowie! Jeśli się spełni, co powiedziała, sam we własnej osobie udam się do Paryża, by na jej rączce wycisnąć gorący pocałunek podziękowania, albo poproszę mego adwokata, by mnie zastąpił.

Otucha więc wstąpiła we mnie, zaczynam bardziej różowo zapatrywać się na sytuacyę, bo chyba paryska wieszczka się nie myli, choć nieraz już wywiodła nas w pole. Czekajmyż przecież, do zimy znów nie tak daleko!

Tyle z polityki, sądzę, wystarczy, teraz kolej na mody. Niedawno „Kuryerek“ pomieścił artykuł p. t. „Epoki i stroje“, w którym dowodzi, że strój człowieka i dana epoka stoją w ścisłym, niezmiernie ciekawym, a dla znawcy zrozumiałym związku. Związek ten jest tak ścisły, że, wspominając jakiś okres historyczny, mimowoli mamy równocześnie przed oczyma charakterystyczne stroje danej epoki. Zaczyna od listka figowego prababki Ewy, kończy zaś na krynolinie cesarzowej Eugenii.

„Tu kończy się epoka stylu — powiada *Kuryerek.* — Obecnie błądzimy, jak pociemku w poszukiwaniach jego, nowego stylu życia, mieszkania, stroju, literatury. Z każdej epoki chcielibyśmy coś wziąć, przyswoić sobie, ukraść, ale w kradzieniu nie jest nigdy dobrze. Dajemy się powodować i ograbiać przez łotrzyków, buszujących w przetrzebionych gajach sztuki, padamy ofiarą piratów nożyc i łokcia.

Tak sprawy stały aż do wybuchu wojny. Wojna położyła kres wszystkim wybrykom i szaleństwom mody. Zwrócono się do tanich materyałów i uproszczonych krojów. Z konieczności zrobiono cnotę, z cnoty bohaterstwo. Zwrot słuszny i sprawiedliwy. Co się jednak stanie ze stylowością i charakterem epoki? Nic! Żyjemy w czasie bezstylowym, bezbarwnym. Czerwony kolor krwi chłonie wszystkie barwy. Dymy, zgliszcza i pogorzeliska zasłaniają nam wzrok. Nie czas nam myśleć o stylach!...“

Tyle *Kuryerek.* Czy jednak miał racyę, przekonają się Czytelnicy z listu, jaki otrzymałem onegdaj od jednego z kolegów po piórze.

Brzmi on (list, nie kolega!) jak następuje:

„Kochany Kolego Kronikarzu!

Jakkolwiek zawsze współczułem Ci bardzo, opłakując razem z Tobą losy Twego pożycia z Weronisią, dziś patrzę na Ciebie z zazdrością, jako na męża tej przezacnej matrony... Bo Jej to niewątpliwie zasługa, że dotychczas obcy Ci jest najgroźniejszy wampir ludzkości, to jest sprawa mód... A tymczasem patrz, co się dzieje na świecie... Prawda, Ty tego nie spostrzegasz, bo poza ukochaną Weronisią nie widzisz nawet innych kobiet... Więc pozwól, że otworzę Ci oczy... Przejdź się po Plantach i po Błoniach w godzinach „defilady“... Doprawdy, cudny obraz. Zapomnisz o rozmaitych brakach, o rozmaitych kartach, o wojnie, o rannych, o trupach... Nigdy jeszcze w Krakowie nie było takiej idylli, jak właśnie w obecnym roku 1916 — trzecim roku wielkiej wojny... Przyznam się, że już oślepłem prawie, patrząc na tę maskaradę nimf, rusałek, pasterek i „białych aniołów“, które snują się obecnie po Plantach, Błoniach i ulicach Krakowa... Pesymiści gotowi byli sądzić, że najstraszniejsza w dziejach wojna, że miliony ofiar, że zasiana zgliszczami i krzyżami ziemia polska okryje żałobą przynajmniej czułe, tkliwe dusze kobiet polskich! Co za naiwne przypuszczenie! Co znaczy wojna, co znaczą trupy i krew — wobec mody! Pomijając już tę idylliczną imitacyę „białych aniołów“ i pasterek w roku wojny i żałoby, popatrzmy przedewszystkiem na ich potworne kształty... Ponieważ wszystkiego w tem królestwie mody brak, więc wid imy właśnie nadmiar kształtów... Suknie wprawdzie krótkie (przypominające strój cyrkówek przed skokiem na konia), ale zato szerokie (cztery do pięciu metrów materyału, gdy dawniej, w czasach pokojowych, wystarczało dwa metry!).

Okazuje się, że, jak mężczyźni „rządzą światem, a nimi kobiety“, tak i wojna, choć opanowała cały świat — musiała jednak uledz potężne bogini kobiet — modzie...

Warto ten fakt zanotować w pamiętnym roku 1916... Bo dawniej kobiety polskie nie okazywały tak niezwykłej odporności... Po powstaniu 63 roku, choć było ono kroplą w morzu krwi polskiej, jaka płynie teraz, aresztowano i pakowano do cytadeli kobiety polskie w Warszawie za to, że nosiły żałobę po swych poległych braciach...

Dziś otrząsnęliśmy się z tego śmiesznego sentymentu. Tam płynie krew — a tu mamy maskaradę uroczych nimf, pasterek i „białych aniołów“...

Na tem kończę — boję się tylko, aby tego listu nie przeczytała wypadkiem Twoja zacna Weronisia, bo przykład jest zaraźliwy i Ona gotowa jeszcze na złość przeistoczyć się w jakiegoś anioła, czy pasterkę, (kapelusz najtaniej 45 koron!), co nie daj Boże, Amen.

Twój

*Nemo.*

A teraz proszę mi powiedzieć, kto ma racyę, *Kuryerek,* twierdzący, że o waryactwach mody nikt w czasie wojny nie myśli, czy też mój przygodny korespondent, utrzymujący coś wręcz przeciwnego?... Zdaje mi się, że chyba ten ostatni. Wyobrażam sobie, jak cudownie wyglądałaby moja Weronisia w kostyumie pasterskim. Zdecydowałbym się nawet kupić wówczas barana, niechby go pasła na Błoniach, potem mielibyśmy wyborną pieczeń. A ja lubię bardzo baraninę, ale dobrze szpikowaną i z porządnym sosem śmietanowym.

Aż mi ślinka idzie na samo wspomnienie, wobec czego kończę!

# Zagadki do nagrody.

**Trójkąt magiczny.**
Ułożyła M. Dybdalewiczówna, Sieniawka

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

E! Ciesz Ludwinie E. Co otocz? E. Ce.

**Grzebieniówka.**
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w pionowych szeregach powstały wyrazy o podarem znaczeniu. Pierwszy rząd poziomy utworzy imię i nazwisko polskiego powieściopisarza

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
— — — — — — — —
— — — — — — — —
— — — — — — — —
— — — — — — — —
— — — — — — — —
— — — — — — — —

*Znaczenie wyrazów:* 1. Roślina, pasorzytująca na drzewach 2 Kwiat polny 3 Rzeźbiarz grecki 4 Rzeczpospolita w Ameryce 5 Grzyb. pasorzytujący na zbożu. 6. Utwór poetycki 7. Kwiat ogrodowy 8. Imię męskie.

**Łamigłówka.**
Ułożył L. Janiszewski, Kraków.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, podadzą rozwiązanie.

E – a
– sk
— an
B r
— an
– on
I - n
– ga
– ar
l – s
– oc
– ra
a – h
– en
– ra.

**Zadanie do przestawienia.**
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

O! Żółty żbik gonił od Mozy sępy w pałacu na szerokiej minie

**Szarada.**
Ułożył S. Kalma Gerzaldi.

*Pierwsze-czwarte* są bez soli,
Raz w rok żyd ma ich do woli,
*Druga, czwarta* dwie spółgłoski,
*Czwarta-trzecia* to pań troski,
*Pierwszą-trzecią* w śnie się trapię,
*Całość* w łóżku lub kanapie.

**Logogryf.**
Ułożył St. Danecki, Przerów.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzą nazwiska dwu współczesnych polskich muzyków.

□ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — — —

*Znaczenie wyrazów:* 1. Szukany wyraz. 2 Miejscowość w Prusach Zachodnich i data historyczna z nią związana. 3 Wynalazca angielski (nazwisko i imię) 4. Utwór muzyczny. 5. Konstellacya. 6 Niemiecki lotnik 7 Zaklęcie 8 Bajkopisarz polski 9 Rodzina owadów. 10. Instrument muzyczny. 11 Inaczej badanie.

**Zadanie do przestawienia.**
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Ten zając cara Tatr siedzi w guni, bo jadł senne ryby.

**Równanie.**
Ułożył K. Kowalski, Wiedeń.

Odpowiednio odgadnięte wyrazy mają mieć każdy tyle zgłosek, ile ich wykazuje mianownik. Z każdego należy wyjąć jedną syllabę, a otrzymamy w pierwszem równaniu nazwisko jenerała wojsk polskich, w drugiem wioskę, w której umarł.

$$\frac{a}{3}+\frac{b}{2}+\frac{c}{3}=x$$

$$\frac{d}{4}+\frac{e}{6}+\frac{f}{3}+\frac{g}{3}=y$$

*Znaczenie wyrazów:* a) Żona Mieczysława I. b) Część klatki piersiowej c) Polski powieściopisarz. d) Pseudonim polskiego literata. e) Wyspa na Oceanie Spokojnym f) Jarzyna. g) Imię żeńskie.

**Zadanie do przestawienia.**
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Opat łka w borach popa, bo oto są żółte hiacynty, z wiśni ćmy.

**Bilety wizytowe.**
Ułożył J. Przecławski, Podgórze.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób:

KAR ŁADNY

OTTOKAR A. W. PIĘKNY

E. SLICZNY.

Z. NADLESKI

Z N. NOWICKY.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: **Illustrowany kalendarz pamiątkowy „Nowości" na r. 1916.**

## Rozwiązanie zagadek z Nr. 26.

**Łamigłówka kryształowa:**

H
m e r
ś r u b a
H e u r e k a
B r e m a
O k a
a

**Zadanie do przestawienia:** Zawsze ten przegraje, kto przyczynę daje

**Logogryf:**

B
S a n
k o n a r
R a d o m
g r u d a
b a r k a
J a a ł o
o k o
l

**Zadanie do przestawienia:** Srokowe wesele des czu będzie wiele

**Logogryf:**

N i e m c e w i c z
A f g a n i s t a n
R a k r z e c z n y
U r o d a ż y c i a
S o c y o l o g i a
Z r i n y S i g e t
E u k a l i p t u s
W ę g l o w o d a n
I w a n G r o ź n y
C e n t r y f u g a
Z i m o r o w i c z

**Zadanie do przestawienia:** Gęsią orze, piaskiem sieje i niezgorzej mu się dzieje

**Łamigłówka wojenna:** Hindenburg.

**Zadanie do przestawienia:** Gdzie mus pogania, tam bieda za orczyki ciągnie.

**Zadanie do przestawienia:** Kiedy chleb nie zrodzi, sad nie dogodzi.

**Bilety wizytowe:** Nauczycielka. Paleograf Architekt. Medyk. Adwokat krajowy

*Dobre rozwiązania nadesłali Pp:* D. Sedyńska Kraków, S. Krzyżanowski Podgórze, J. Charzewski Kraków, S. Wysoczański Poznań, M. Planecka Kraków, Z. Sperling Wiedeń, M. Sokołowska Kraków, S. Karwowski Gniezno, H. Bukowska Winnica, R. Topolnicki Wiedeń, B. Osadziński Krosno, D. Bernatowicz Jasło, M. Kalinowska Mor. Ostrawa, T. Nikiel Kraków, F. Horak Oświęcim, S. Medyński Zakopane, D. Schwadron Kraków, J. Stępień Budapeszt, S. Galiński Praga, K. Reichenberg Cieszyn, M. Raszka Cieszyn, J. Zachara Mielec, K. Wyka Biała, K. Makowski Zakopane, J. Jakubowska Kraków, R. Obraczay Morawska Ostrawa, J. Lipski Kraków, A. Gralewski Kraków, H. Mańkowski Wiedeń, J. Górka Kraków, H. Wincencik Kraków, A. Dużak Kraków, J. Antosz Tarnawa, H. Kozicka Tarnawa, S. Wilczyński Kraków, S. Mróz Wiedeń, S. Wiewiórowski Poznań, B. Antosz Wiedeń, K. Ohrenstein Podgórze, Z. Zacharska Nowy Sącz, J. Opolski Praga, A. Siatka Kraków, M. Kowalska Kraków, J. Wysoczański Jasło, R. Wolański Wiedeń, I. Brzostowski Podgórze, H. Trojacka Wiedeń, K. B rowiecki Lwów. M Golska Wiedeń. M. Raczyńska Lwów, S. Zaleski Czerniowce, W. Nowiński Tarnów, R. Wójcik Przemyśl, Z Małecki Lwów, J. Rakowiecka Jaworzno.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p **S. Karwowski Gniezno.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

# Kącik humorystyczny.

### Rzecz zapatrywania.

Jeden z krakowskich lekarzy zajmuje się specyalnie studyami nad pasorzytami, zamieszkującymi wnętrze człowieka, a szczególniejszą uwagę poświęca tasiemcowi w różnych jego odmianach.

Gdy niedawno zgłosił się doń jeden z pacyentów z prośbą o poradę i zapytany, co mu dolega, odrzekł:

— Panie doktorze, mam tasiemca! — lekarzowi rozweseliło się oblicze i zauważył z ukontentowaniem:

— A! To bardzo pięknie z pańskiej strony!

### Z zadania pensyonarki.

— Bliźniaki są to bojaźliwe stworzenia, które obawiają się pojedynczo przychodzić na świat...

### Na willegiaturze.

*A.:* Widzę pana dobrodzieja tutaj już od kilku dni z wędką... Musi tu być doskonała woda...

*B.:* I ja sądzę tak samo, gdyż żadna z ryb nie chce się dać złapać!...

### Dziecięca logika.

Małej Loli powiedziano, że babcia pojechała do nieba i nie powróci już stamtąd, ale będzie się tam modlić za swą wnuczkę.

Na to odrzekła Lola z irytacyą:

— To kłamstwo! Babcia wróci z pewnością! Widziałam przecież w szafce nocnej jej sztuczną szczękę!

### Dowcipny.

Do sklepu jubilera zgłosił się jakiś dość podejrzanie wyglądający jegomość i z ogromną uwagą począł przyglądać się srebrnym puharom, które właśnie przyniesiono z pracowni. Jubiler niechętnem okiem spozierał na przybysza, na zapytanie zaś jego, co to są za przedmioty, odparł:

— To są nagrody, przeznaczone na jutrzejsze piesze wyścigi, jakie urządza „Sokół"!

— Tak?... — zauważył na to przybyły. — W takim razie ja gotów jestem jeszcze dziś spróbować!...

To powiedziawszy, pochwycił najpiękniejszy z puharów i w mgnieniu oka znalazł się na ulicy.

### Wstydliwość.

— U niektórych niewiast wstydliwość objawia się w tym kierunku, iż przed oczyma ciekawych kryją troskliwie te wdzięki, których wcale nie posiadają!

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego